

BLUSZCZ

*spoleczno-literacki ilustrowany
tygodnik kobiecy*



W a r s z a w a,

S o l e c 87.

telefon 2-44-18.

„BLUSZCZ”

społeczno-literacki
ilustrowany tygodnik kobiecy

Ś-to Krzyska 17, m. 3, tel. 6-76-72.

W a r s z a w a,

Ś-to Krzyska 17 m. 3.

telefon 6-76-72.

Redaktor*ki*: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczeln*a*) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW

Dział robót pod kierownictwem JADWIGI KORZENIOWSKIEJ

Dodatek „Wychowanie i szkoła” pod kierownictwem WANDY BORUDZKIEJ

Redakcja i Administracja: Warszawa — Solec 87, tel. 2-44-18 i 5-87-03.

KLISZE WYKONUJĄ WŁASNE ZAKŁADY FOTO-CHEMIGRAFICZNE.

Treść numeru:

Konstytucja najmniejszego państwa — Zofja Popławska. Na wózku — S. Borowska. Poezje: Pod jabłonią — Lucyna Krzemieniecka. Czerwińsk nad Wisłą — Michał Szymański. Wielmożna dama — Janina Wyczółkowska - Surynowa. Matka królów — St. Goryńska. Pierwsze latające małżeństwo — Jot. Echa poznańskie — Zofja Karczewska. Z teatrów — S. P. O. Z ubiegłego tygodnia — H. N. Kobieta w świecie i w domu. Ogrodnictwo i hodowla: Kwiaty pokojowe w październiku; Zimowanie roślin balkonowych; Jesień a szkodniki w sadach; Przechowanie karczochów przez zimę; Konwalje — Marja Dąbrowa. Dom i gospodarstwo: Sztuka kupowania — Wanda Dobrzańska. Mody i roboty.

WARUNKI PRENUMERATY:

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie—4.50 zł. kwartalnie—13.50 zł., rocznie—54 zł.

Do innych krajów miesięcznie — 5.20 zł. Zmiana adresu — 50 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Solec 87 i Świętokrzyska 17 m. 3.

Konto P. K. O. WARSZAWA Nr. 3700.

W y d a w c a : Tow. Wydawnicze „Bluszcz”, Sp. z ogr. odp

Pracownicy umysłowi korzystają z 20% ustępstwa.

WARUNKI OGŁOSZENIOWE:

	zł.
$\frac{1}{1}$ str. tekstu	700.—
$\frac{1}{2}$ „ „	400.—
$\frac{1}{4}$ „ „	200.—
$\frac{1}{8}$ „ „	100.—
$\frac{1}{16}$ „ „	50.—
$\frac{1}{32}$ „ „	50.—

	zł.
$\frac{1}{1}$ str. okł.	500.—
$\frac{1}{2}$ „ „	250.—
$\frac{1}{4}$ „ „	150.—
$\frac{1}{8}$ „ „	80.—
$\frac{1}{16}$ „ „	50.—
$\frac{1}{32}$ „ „	50.—

	zł.
$\frac{1}{1}$ str. okł.	600.—

Przy ogłoszeniach seryjnych prosimy o żądanie ofert.

Ogłoszenia przyjmują wszystkie biura ogłoszeń w kraju i zagranicą, oraz biuro Tow. Wyd. „Bluszcz” — Warszawa, Solec 87, tel. 6-26-44, 2-44-18 i 5-87-03. Cena artykułów reklamowych w tekście wedle specjalnej umowy.

Tygodnik „BLUSZCZ” ze względu na swoje liczne i szerokie sfery czytelniczek, jest doskonałym organem reklamowym dla wielu artykułów z dziedziny zainteresowań kulturalnej kobiety.

Czytelniczki „BLUSZCZU” powinny nabywać tylko te towary, które zaleca im ich ulubione czasopismo.

Zakłady Graficzne Tow. Wyd. „Bluszcz”, Warszawa, Solec 87.

22 434/1934, Nv 40-52

BLISTOZ

SPOŁECZNO-LITERACKI
ILUSTROWANY
TYGODNIK KOBIECY

Konstytucja najmniejszego państwa

Z tak zwanym „domem rodzinnym“ dzieje się przeważnie tak, jak w pewnej popularnej piosence z miłością: z początku zawsze jest dobrze, a potem wszystko jest źle...

I to tak beznadziejnie źle, że nawet to, co ocalało dobrego, tonie w morzu nieporozumienia i powszedniości i nielada doświadczenia trzeba, żeby z dna tego morza wyłowić zpowrotem perełki dawnego szczęścia czy spokoju.

Ustalenie przyczyny, dlaczego większość domów rodzinnych zmienia się po jakimś czasie w tak zwane przedpiekle, nie równa się co prawda rozwiązaniu kwadratury koła, co, jak nie pamiętamy z geometrii, jest rzeczą niemożliwą, ale nie jest też rzeczą łatwą.

Trudność ta polega na tem przedewszystkiem, że każdy dom rodzinny nieszczęśliwy jest inaczej i że dla nieszczęść rodzinnych nie da się znaleźć wspólnej formułki. Powiedział to zresztą przede mną Lew Tołstoj w „Annie Kareninie“ i wcale nie roszczę sobie tytułu do autorstwa tej znakomitej obserwacji.

Bo naprawdę to tylko elementy szczęścia rodzinnego są aż do znudzenia jednakowe: miłość, wzajemne zaufanie, zdrowe i zdolne dzieci, powodzenie w życiu, dobrobyt...

Nieszczęście rodzinne natomiast ma tysiąc postaci i tysiąc imion. Dla jednych nazywa się różnicą temperamentów, dla innych tym trzecim, czy tą trzecią, dla innych jeszcze chorobą, śmiercią, nieuctwem czy lenistwem dzieci, redukcją, stratą posady, majątku.

Są też i nieszczęścia wybitnie negatywne: niewygrana na loterji, nieodziedziczenie spadku, pominięcie w awansie...

A są też i nieszczęścia zupełnie bezosobowe i bezimiennie, które nie wchodzą do domu otwarcie, a wślizgują się wszystkimi zakazanymi szczelinami i szparami, wytwarzając dobrze znany kwas rodzinny, ostrzejszy od przysłowiowego octu siedmiu złodziei.

Te „zakwaszone“ domy są chyba najbardziej beznadziejne ze wszystkich domów rodzinnych.

Bo z nieszczęściem można walczyć, lub, ostatecznie, można się z niem pogodzić. Kwas natomiast można tylko zobojętnić. I, jak znowu nie pamiętamy z chemji: jedynym skutecznym środkiem na zobojętnienie kwasu jest zasada. Ale — nie każda zasada, i nie w każdej ilości...

Kiedy się takim zakwaszonym domom przyglądam, nie mogę oprzeć się wrażeniu, że większość z nich posiada własną, prywatną fabrykę kwasu rodzinnego. I że najlepszym materiałem na wytwarzanie takiego kwasu jest niezrozumienie istoty rodziny.

Nie jest to bowiem tylko komórka, wraz z innymi rodzinami tworząca organizm społeczny.

Nie, rodzina wzięta jednostkowo, jest czemś o wiele bardziej zróżniczowanym od tego cudownego w swej harmonji, ale dość prostego tworu, jakim jest komórka organiczna. Już to samo, że rodzinę tworzą istoty różnej płci, temperamentów, upodobań, czyni harmonję zewnętrzną i wewnętrzną trudną do osiągnięcia.

Jeżeli jednak koniecznie musimy porównywać — rodzina jest raczej minjaturowem państwem, które musi mieć ściśle określony ustrój, żeby mogło istnieć. Bo to, że coś może „stać nierządem“, jak lubiła mawiać szlachta w Polsce, jest tylko fikcją. Skutki tej fikcji odczuliśmy, jako naród, dość dotkliwie na naszej skórze...

Pomimo tej lekcji historji, rodziny nasze — stoją obecnie nierządem. Tu muszę się zastrzec, że słowo „nierząd“ rozumieć należy jako brak ładu, posłuszeństwa, kierownictwa, a broń Boże nie w jego „niemoralnem“ znaczeniu!

W dawnych, jak zapewniają nas „dobrych czasach“, rodziny stały „rządem“. Był to rząd despotyczny, przeważnie jednowładczy (ojciec!) czasami duali-

styczny (rodzice!) Dzieci nie miały głosu, żony nie miały głosu, głos miał tylko pan domu. Nie tęsknię do tych „dobrych czasów“, kiedy najbardziej kochanemu dziecku dla jego rzekomo dobra odmawiano prawa inicjatywy i indywidualności, a przysłowka przeczenia wolno było używać tylko starszym. Nie tęsknię do tych czasów i jestem chyba naprawdę ostatnią, któraby pragnęła ich powrotu. Bynajmniej jednak nie napawa mię otuchą, ani radością to, że dawne despotyczne rządy większość rodzin zastąpiła osławionym polskim nierządem (znowu tylko w dawnym historycznym znaczeniu tego słowa!)

Tak, mili współtwórcy naszej rzeczywistości, obalwszy ustrój despotyczny, nie wprowadziliśmy żadnej innej formy rządu do naszych domów rodzinnych i dlatego „potem zawsze jest źle“...

Bo przyznajcie, tak z ręką na sercu, czy w waszym rodzinnym domu istnieje ściśle rozgraniczenie i określenie praw i obowiązków każdej osoby?

Czy pielęgnujecie w nim ustrój patryjarchalny, czy raczej jesteście zwolennikami matryjarchatu, czy też osadziliście na tronie jego Królewską Mość — dziecko?

Oddaję głos pani, pani Marjo!

Nie chce pani skorzystać z tego prawa? ani pani Anno? ani pani, pani Kazimiero? Więc może pozwolicie, że będę mówiła za was?... Och, oczywiście, głową rodziny teoretycznie jest ojciec. Wszystko, co należy do ojca, jest swego rodzaju „tabu“. Jego czas, spokój, odpoczynek, przedmioty. Nie wolno bawić się hałaśliwie, kiedy ojciec drzemie po południu (najczęściej przy akompaniamencie cichych, a przejmujących „nie hałasuj!“), nie wolno wchodzić do jego pokoju, nie wolno ruszać jego rzeczy.

Ale kiedy onegdaj byłam u pani, pani Marjo, Józio rysował czerwonym ołówkiem wziętym z biurka, a Marysia budowała z książek (tych z półki) piękny most. Pani męża nie było wtedy w domu — to się rozumie, Marysia jest w tym wieku, że w obecności ojca nigdy nie przyjdzie jej do głowy budować cośkolwiek z jego książek, ale Józio... Józio jest jeszcze małutki, i zanosi się od płaczu, kiedy na prośby „daj ołówek taty“ usłyszy: „Wiesz, że nie wolno!“

Mój Boże, skąd Józio ma to wiedzieć? i klaps, niemocny, raczej taki symboliczny, który oberwał w zeszłym tygodniu za bawienie się siekierką ojca, napewno nie jemu się należał...

Drugą uprzywilejowaną osobą, zbiorową, w domu są dzieci. Broniek szóstoklasista, trzynastoletnia Janka, owa wymieniona już Marysia i Józio.

Inteligencja, wiek i prawo pierworodztwa sprawiły, że Broniek jest traktowany w domu „prawie jak dorosły“. Zabiera głos w dyskusji, ale z chwilą kiedy wygłasza zdania, nieodpowiadające poglądom ojca, słyszy, że jest „niedowarzony“. Poczem dyskusja zostaje zamknięta. Jest to właśnie ta „prawie dorosłość“...

Co do papierosów... oficjalnie Broniek nie pali. Matka mówi mu: „Pamiętaj, żeby ojciec nie zobaczył cię z papierosem!“ Ojciec twierdzi: „Nie pal otwarcie przy matce. Sprawia to jej przykrość“. Dzieje się to za wspólnym porozumieniem rodziców; uważają, że nie

warto zabraniać wyraźnie, kiedy się wie, że chłopiec nie posłucha, a niedobrze jest też pozwalać, bo wtedy będzie palił za dużo...

Papierosy są precedensem do innych „nieoficjalnych“ czynów Bronka. Ponieważ nie wie, a raczej wie, że dom ustosunkuje się do nich nijako, woli nie poruszać tych kwestyj. W rezultacie — „wisi“ w tym domu jak Twardowski na księżycu i sam nie wie, co mu wolno, a czego nie wolno...

Janka słyszy ciągle, że jest na coś za duża, a znowu dla innych rzeczy stanowczo zamała. Nie chcąc, broń Boże, być pomówioną o zacofanie, matka nie krępuje swobody Janki. Wolno jej należeć do harcerstwa, wolno chodzić z koleżankami do kina, wolno śpiewać kabaretowe piosenki o wątpliwym tekście, zbierać fotografie gwiazd i gwiazdorów.

„Moja córka musi być człowiekiem“, słyszy Janka z ust ojca i pęcznieje z dumy.

A kiedy przyszły „człowiek“ upomni się czasem o swoje człowieczeństwo, kiedy zada niebacznie pytanie, uznane za nieodpowiednie, słyszy, „że jest przecież dziewczynką, którą to nic nie powinno obchodzić...“

A potem znowu jest „chyba dość duża dziewczyna“, ma prawo do własnego pokoju (Broniek sypia w jadalni, a Marysia z Józkiem), w którym zresztą nie wolno się jej zamykać (mój Boże, cóż to za samotność, przy drzwiach otwartych), musi ustępować Marysi, bo ta jest młodsza, ale i musi znowu ustępować czasami Bronkowi, bo on jest znowu starszy, nie wolno jej czytać tej książki, ale ponieważ zapomniano o niej, wolno jej z lepiącymi się od snu oczyma słuchać, co ciocia Anielka opowiada matce...

Marysia ma lat pięć, a Józio trzy (dzieci drugiej fali miłości). Marysia jest ulubienicą ojca. I musimy tu przyznać: nietylko ona sama, co domownicy wyzyksują tę słabość głowy rodziny do młodszej córki. To Marysia zostaje wysyłana, kiedy się chce czegoś od ojca, i do tej roli używa ją niestety i matka, i rodzeństwo i służąca. Kiedy interwencja Marysi jest niepotrzebna, słyszy, że jest nieznośna. Właściwie niema swego miejsca ani w domu, ani w sercu rodzeństwa.

Józiovi wszystko wolno i Józio jest ulubieńcem wszystkich. Ta nieograniczona wolność (ołówek z biurka ojca, atlas geograficzny Janki: obrazki) sprawia, że czasami Józio nie rozumie, dlaczego jest wyrzucany za drzwi i nawet coś oberwie...

Następne miejsce — znowu teoretycznie — w domu zajmuje matka. Czasami jednak matka jest wysunięta przed dziećmi, czasami wysuwa się sama. Rola matki w „zakwaszonym“ domu polega na świadomym łagodzeniu wszystkiego i nieświadomym dolewaniu oliwy do ognia. Ponieważ ona to właśnie toleruje pewne wykroczenia Bronka i Janki, i ona pozwala w nieobecności ojca Marysi i Józiovi na rzeczy, których właśnie ojciec zabrania — do niej wszyscy mają słuszne i niesłuszne pretensje. I o to, że pozwoliła młodszemu coś poruszyć na stoliku starszych, i o to, że Broniek nie wrócił na kolację, i że Janka zadługo była na ślizgawce. I o to, że książki nie zmieniła w czytelnicy, i że za dużo czyta. Że poszła do kina i nie wydała służącej masła

do kolacji. Że „niema czego włożyć na siebie“ i że za dużo czasu traci na krawcową. Że nie pomyślała o letnim ubraniu dla dzieci i że nie umie utrzymać się w ramach budżetu. Że zaniedbała dawne stosunki i stanowczo zawiele czasu traci na przyjaciółki. Że nie dba o siebie, zapracowuje się i źle wygląda, a potem, że przez niedopatrzenie pozwoliła Józiovi zrobić taką szkodę.

Jest jeszcze Anielcia. Anielcia do wszystkiego, z pomocą pani, z wychodnią jednej niedzieli na sumę, a drugiej po południu. Anielcia kwaśna co niedziela, bo zawsze tak wypada, że pani zapomniiała, że to dziś jej wychodnia na sumę, albo po południu będą goście na brydżu i „co ja bez Anielci zrobię?“

Uśmiecha się pani, pani Marjo? I mówi pani, że na to niema rady?

A pamięta pani, jak to było przed ślubem?

„Kaźde z nas musi mieć swobodę, i swój czas i prawo do siebie. Dzieci będą pierwsze, ale nie mogą

nas tyranizować i nie będziemy ich psuć! system! system! przede wszystkim!“

Wie pani, co to były — te rozmowy? Nie mniej, nie więcej — tylko w zarysie — projekt konstytucji pani domu. Konstytucji, która nie weszła w życie. Ani ta, ani żadna inna. Dlatego teraz jest źle. Dlatego ten kwas, który zatruwa wszystkich. „Na kwas jedynym odczynnikiem jest zasada“.

Na kwas domowy jedyną neutralizacyjną zasadą jest ściśle rozgraniczenie praw i obowiązków każdego mieszkańca domu.

Niech pokój ojca będzie naprawdę nietykalny. Niech Broniek pali otwarcie. Niech Janka zrozumie, czego od niej chcą. Niech Marysia nie musi wygrywać swojej roli ulubienicy. Niech Józio odczuwa, że jednak nie wszystko mu wolno. Niech Anielcia ma swoje murowane wychodnie w niedziele.. Niech pani wywalczy sobie prawo do odpoczynku i rozrywki.

Nie, pani Marjo, na wprowadzenie ładu w domu nigdy nie jest zapóźno!

Zofja Popławska.

Na wózku

3)

— Karol krakał, krakał i wykra-kał — mówiło sobie.

Pierwsze nieporozumienie z Borysem wynikło z powodu jego garderoby. Pojechał był do powiatowego miasta w jednej bardzo ważnej sprawie. Gdy wrócił, spostrzegła, że przywiózł sobie dwie jedwabne koszule. To ją rozgoryczyło. Rok taki był ciężki. Ona przerabiała sobie stare palta i suknie, a on wydawał na jedwabną bieliznę.

Prawda, był do tego przyzwyczajony tam w Rosji, za carskich czasów. Posiadał duży majątek, no ale teraz, w ich położeniu...

Kanciasta i prawdomówna, nie zmilczała:

— No wiesz — rzekła surowo — ia takie elegancje nie starczy Cudnowa...

Zrobiło się nagle cicho. Demidow nie odpowiedział ani słowa. Nie śmiała spojrzeć na niego. Wyszła z pokoju z uczuciem okropnej przykrości.

Od tego się zaczęło. Potem bywały inne scysje, niby drobne, ale demoralizujące obie strony.

Borys nie włożył nigdy na siebie owych fatalnych, jedwabnych koszul, które rozpętały zaciszną wojnę domową. Obstał sobie w najbliższym miasteczku trzy koszule ze zgrzebnego płótna, przepasywał je skórzanym paskiem i tak chadzał w dnie gorące na folwark, lub jeździł w pole. Irenę drażniło to niesłychanie.

Miał też pewną usterkę, irytującą dla żony. Nie widział nigdy popielniczki. Kładł niedopałki papierosów, gdzie się dało: na spodku od szklanki, na doniczkach pokojowych roślin, na tacce od samowara. Irena gniewała się:

— Zlituj się... To okropnie szkodzi kwiatom...

Albo:

— Spodek myje służąca razem z innymi i wszystko czuć tytoniem...

Przyjmował do wiadomości: Obiecował poprawę, ale popielniczki nie mógł nigdy znaleźć.

Kiedyś w lecie wyrzucił papieros za okno.

— Borys — podskoczyła Irena — to nie jest żydowskie podwórko, ja

przecież kaźę zamiatać przed domem.

Chodził więc z papierowym munsztuikiem w palcach, szukał, szukał, szukał. Wreszcie wpadł na świetny pomysł. Zaczął niedopałki rzucać na piec, na bufet, pod szafę, albo za łóżko.

— Borys — wołała Irena — opamiętaj się... Rzucaj to raczej na środek pokoju. Służąca wymiecie.

Wtedy śmiał się:

— Oj, miałbym się z pyszna, gdybym to zrobił...

* * *

Był znowu maj i cudowny dzień pełen słońca. Irena była jednak smutna. Dwie rasowe świny padły na jakąś zarazę, a piekarniana dziewczka zmarnowała jej, najgłupiej w świecie dwanaścioro młodziutkich gąsiąt...

Siedzieli oboje z Borysem przy śniadaniu. Użalała mu się na swoje kłopoty. Pocieszał, ale zanadto bez trosko. Przynajmniej tak się jej, zgnębionej ogromnie, zdawało... Myślała z goryczą, że późno wstał i nie kwapił się jakoś na folwark.

PIERWSZY

1.000.000

w Warszawie

padł w kolekturze „ALJOT”

JADWIGA HORODYSKA I S-ka

Senatorska 37, konto P.K.O. 10.297

Najwyższy czas

kupić los do 1-szej klasy.

Odczuwał nastrój żony, ale dopalał wolno papierosa. Z munsztukiem w ręku zafrasował się:

— Gdzież u diabła ta popielniczka? Na stole niema. Na bufecie niema. Na oknie niema.

Wstał i zajrzał do drugiego pokoju. Nie było i tam.

Irena ze smętnie spuszczoną głową dopijała herbaty. Nie zwracała pozornie uwagi na jego manewry. Zaszedł więc za jej krzesło i zręcznym rzutem cisnął niedopałek na bufet.

W tym momencie obejrzała się:

— Ależ Borysie — krzyknęła — tyle razy prosiłam...

Roześmiał się:

— Wybacz, Iri, ale doprawdy, niema ani jednej popielniczki. Szukałem i nie znalazłem. Nie chcesz chyba, żebym połykał te papierki?

Zadzwoiła energicznie na służącą. Gdy weszła, rozkazała krótko i groźnie:

— Podaj panu popielniczkę.

Dziewczyna dała nura do kuchni i przyniosła aż trzy... Zabrała je wszystkie, przy sobocie, aby wyczyścić.

— No, widzisz, Iri, widzisz! — żartował dalej Demidow.

Ale Irena była nieprzejednana. Cudnów idzie ku ruinie, świnię chorują, gąsięta giną, a on żartuje. Och, cóż za lekkomyślny człowiek!

— Przynieś miotłkę i szufelkę — rozkazała służącej. — Zgarniesz śmiecie z bufetu...

Dziewczyna wykonała zlecenie i pokazała całą kolekcję munsztuków...

Gdy wyszła, Irena spojrzała surowo na Borysa.

— Proszę Cię, żeby to było ostatni raz.

Szary ze znużenia, oglądał paznokcie:

— Słuszajus — rzucił nonszalancko i niespodziewanie po rosyjsku.

Ach, tego było już zawiele na dzisiejszy pechowy dzień Ireny. Poczzerwieniała:

— I proszę cię, żebyś tu, w Cudnowie odzywał się tylko po polsku!

Wolno, wolniutko podniósł się Borys z krzesła. Jego rosyjskie, jasne jak srebrzysta zdradziecka woda, oczy, zwięziły się dziwnie. Błysnęło w nich zuchwalstwo i nienawiść. Ale tylko na ułamek sekundy. Uśmiechnął się z bezbrzeżną ironją. Przycisnął ramiona do boków, jak rekrut i wyrecytował po polsku:

— Rozkaz, pani dziedziczko! — poczem wyszedł.

Irena miała wrażenie, że uderzył ją w twarz. Zapomniała o świniach i gąsiętach, usiadła przy stole wśród szczątków śniadania i zapłakała gorzko.

Demidow nie zjawił się na obiad, ani na popołudniową herbatę. Jakże żałowała tego incydentu i własnej porywczosci. Gdy nastał wieczór, dziwnie ciepły, nie mogła już znaleźć sobie miejsca. Ruszyła ku stajniom. Kazała zaprząć konia do linijki i wyjechała w pole. Jakże cudnie było na świecie. Cudnie i tragicznie smutno. Wybierała umyślnie te same dróżki, któremi ongiś dążyła na spotkanie z Borysem i o dziwo!...

U wiadomej miedzy stał właśnie Borys. Tak jak dawniej. Ale nie w białym ubraniu tenisowym. W zgrzebnej koszuli, w jakiej „służył u niej za parobka”.

Nie widział, gdy podjeżdżała, a może nie chciał widzieć. Patrzył, wydawało się Irenie, w kierunku, gdzie, hen za polami, leżał majątek jego pierwszej żony.

Skoro znalazła się całkiem blisko, zatrzymała konia:

Odwrócił się. Podszedł do linijki.

— Borysie...

Miała tak nieszczęśliwą minę, że nawet się uśmiechnął. Odebrał jej lejce, usiadł obok niej i cmoknął na konia.

— Tak mi przykro — zaczęła Irena, — tak przykro... Nie wiem co bym dała, aby móc cofnąć...

Objął ją ramieniem.

— Nie mów nic, Iri, nie jesteś winna, ale i ja także nie. Nikt nie jest winien. Ot, sud'ba!...

Wystawa Mody jesienno-zimowej

pod hasłem

„To co najmodniejsze”

od 5 do 15 października r. b.

w Poradni Mody, ul. Świętokrzyska 17 m. 3. Tel. 6-76-72

Wstęp na wystawę dla prenumeratorek „Bluszczu” bezpłatnie za zaproszeniami, które w godz. od 10-ej do 2-ej (z wyjątkiem niedziel i świąt) wydaje redakcja „To co najmodniejsze” w lokalu przy ul. Świętokrzyskiej Nr. 17 m. 3.

1. zasada!

Białą bieliznę gotować przynajmniej 15 minut!

RADION sam pierze

Obecnie również w praktycznych małych paczkach

Rozszlochała się tak gwałtownie, że zasunął lejce pod kolano i zaczął ją pocieszać.

Koń szedł noga za nogą, wtaczał linijkę w najgorsze koleiny, podrzucił na wybojach, zatrzymywał się i skubał trawę, wreszcie znużony głupią eskapadą, wykręcił szyję i spojrzał wstecz na swoich państwa...

Całowali się z rozpacziwą pasją nieszczęśliwych, którzy, mimo wszystko, kochają się...

Smutne oczy konia zdawały się mówić:

— Czyż nie można było robić tego w domu?... A nie mnie biedną szkapę zabierać z pastwiska i kazać się wlec w pył?... Oj ludzie!...

W pewnej chwili Irena szepnęła:

— Wracajmy. Już późno...

Borys ujął znów lejce. Gdy wjeżdżali w długą lipową aleję wiodącą bezpośrednio do dworu, jakieś wielkie, miękkie skrzydła przecięły zniechęcająco powietrze tak nisko nad ich głowami, że koń się spłoszył, a Irena drgnęła:

— To sowa—powiedziała cicho, z zabobnym strachem.

Borys zapatrzył się na ruchomy, ciemny punkt, znikający już u jaśniejszego wylotu drogi. Jego rosyjskie oczy oceniły lepiej niezwykłą zjawę.

Przytulil mocniej do siebie swoją polską żonę i roześmiał się:

— Nie, Iri, to nie sowa. To miłość, dziki, nieuchwytny ptak. Nawiedziła nas raz jeszcze na tym trzęsącym wózku, ale pod naszym małżeńskim dachem mieszkać nie chce.

S. Borowska.

LUCYNA KRZEMIENIECKA

Pod jabłonią

*Weźmy tuzin dzieci z podwórka,
weźmy wielki wór,
w sadzie siadźmy pod jabłonią
jabłek soczystych
czerwonych i złocistych
spragnioną nazgarniajmy dłoń.
Szczypta wiatru i słońca,
trochę liści międających
zamieruszy się nam do wora;
wór zwiążmy, oprzyjmy o drzewo,*

*na baśń jesienną przyjdzie pora.
Była sobie raz piękna pani,
miała smutek na imię, czy jesień,
i złote przy sukni falbanki
i broszę z jarzębiny, to wie się...
Czy nie ona tam stoi za płotem
złotą przykryta chustą?
Nie, to wiatr liście rozrólóczy
aleją pustą.*



Jablka obrodziły.

Czerwińsk nad Wisłą

Niegdyś możne opactwo, cieszące się opieką królów, dziś podupadła osada w powiecie Płońskim, położona bardzo malowniczo na wyniosłym brzegu Wisły, poprzerzynanym głębokimi wąwozami, zwraca na siebie uwagę swym nieprzeciętnym pod względem zabytkowej wartości, romańskim kościołem, również na znacznej wyniosłości położonym.

Historja tego kościoła, którego styl jest rzadkością na Mazowszu, sięga odległych wieków. Pierwsze wzmianki o nim łączą się z przybyciem do Czerwińska zakonników reguły św. Augustyna, zwanych kanonikami regularnymi lateraneńskimi. Sprowadził ich z Francji w 1060 r. Aleksander, biskup płocki, osadzając ich zrazu w niewielkim domu, w roku 1117 zastąpionym klasztorem, posiadającym kościół, który wykonał sławny naówczas Piotr Dunin ze Skrzynna, wkładając w to dzieło dużo artystycznej inwencji, cechującej również inne jego dzieła. Z rozrostem klasztoru powiększają się przez hojne nadania również należące doń dobra, potwierdzone w 1115 roku przez papieża Adryana IV. W ten sposób

Jedna z romańskich wież kościoła w Czerwińsku (ze zbiorów Warsz. Urz. Konserwatorskiego).

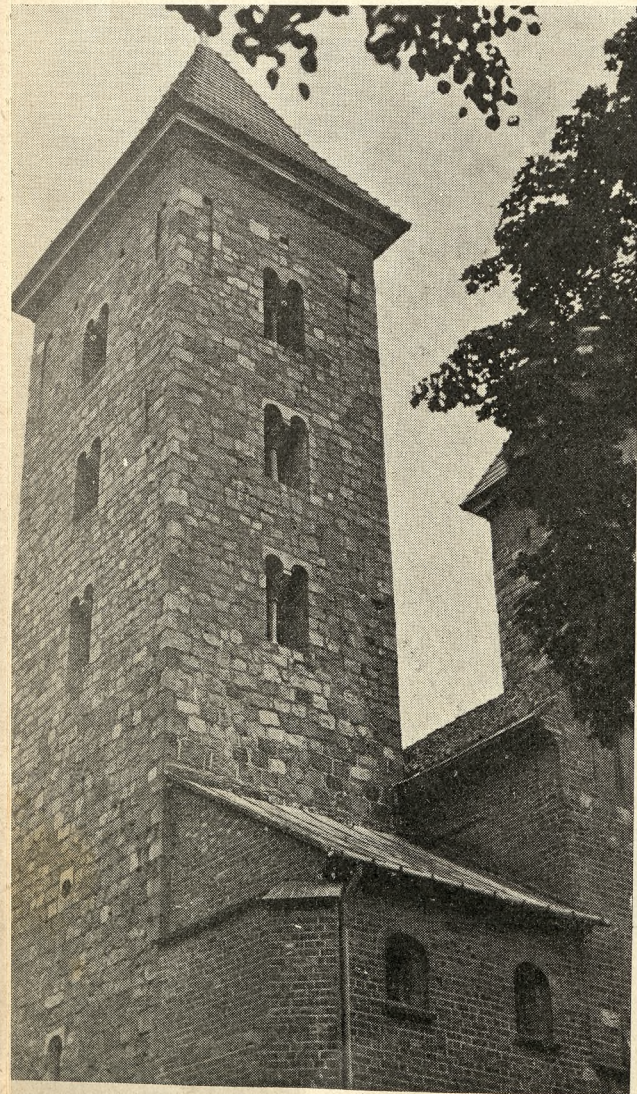


Fragment absydy z budynkiem klasztornym (ze zbiorów Warsz. Urz. Kons.).

mały niegdyś klasztorzek przeobraził się w opactwo, któremu królowie, szczególnie Bolesław Kędzierzawy i Kazimierz Sprawiedliwy nadali korzystne przywileje, w 1222 roku rozszerzone jeszcze przez księcia mazowieckiego, Konrada I, oraz synów jego Bolesława i Ziemowita I. Równorzędnie do nadań i przywilejów królów i książąt mnożyły się ustawicznie zapisy pobożnych tak, że opactwo posiadało wreszcie przeszło 30 wsi, a między innymi takie miasta, jak ówczesny Nasielsk i Wyszogród, które to posiadłości w roku 1254 Inocenty IV przez swego specjalnego legata, Opizo, polecił szczególnej pieczy arcybiskupa gnieźnieńskiego oraz opata klasztoru w Wąchocku. Lecz maksymalny rozkwit osiągnęło Opactwo Czerwińskie za swego największego dobrodzieja i miłośnika, księcia czerskiego, Konrada II, zmarłego i tu pochowanego w 1294 roku. W podobny sposób przez wszystkich książąt mazowieckich powiększone i przywilejami obwarowywane, opactwo kwitło pomysłnie, o liczebności zaś przywilejów świadczy fakt, że zostały one w roku 1475 zebrane w dwóch specjalnych księgach, zwanych Kodeksem Czerwińskim, które ma przechowywać biblioteka ordynacji Zamo-

skich w Warszawie. W roku 1819 zniesiono Opactwo Czerwińskie, którego klasztor objął przejściowo zakon Sióstr Norbertanek; obecnie zaś mieści się w nim nowicjat OO. Salezjanów.

W pewnym czasie klasztor przybrał szatę gotycką, uległ jednak następnie większym przeobrażeniom. Dobrze zachował się jedynie gotycki, lecz później powstały, kapitułarz z XVI w. (dzisiejsza kaplica klasztorna), w którym pozostały nawet fragmenty polichromowanych sklepień żebrowych. Również gotycka jest wiodąca od strony miasta, poprzedzona wieloma stopniami kamiennych schodów, t. zw. Brama Opata Kuli, która stanowi jednocześnie dzwonnice. Do dzwonnicy przylega dość wysoki mur ceglany, otaczający dziedziniec przedkościelny, przeznaczony na procesje. Zabudowania klasztorne, składające się już niegdyś z dwóch części: jednej właściwej klasztornej, a drugiej zamkowej, łącznie przebudowanych w wieku XVII, są jeszcze w ruinie, lecz dźwigają się już z niej powoli. W dziele zachowania fragmentów bezcennych rzeźb kamiennych — romańskich i renesansowych położył m. in. zasługi poprzedni proboszcz, tworząc z nich lapidarium kościelne.



Kościół poklasztorny był przebudowany kilkakrotnie, o czym świadczą zapiski dokumentalne, a nawet remanenty przekształceń z XV, XVI i XVII wieku. Wskutek tych przekształceń, styl zabytku stał się mniej jednolity, zewnątrz romański posiada prawie całkowicie wnętrza barokowe. Założony na planie prostokąta, bez transeptu, o dość wąskich nawach, rozdzielonych filarami, zmienionymi w czasach późniejszych na prostokątne, zachował od strony zachodniej dwie wyniosłe, całkowicie romańskie czworoboczne wieże. Jak cały budynek, są one murowane z kamiennych ciosów, zgrubsza obrobionych, i ozdobione potrójną linią charakterystycznych, a pełnych czaru, bliźnich przezrocznych okienek (fot. Nr. 5). Przy wieżach znajduje się, prawdopodobnie w XVI wieku powstała, poprzeczna kruchta kościelna, zainicjowana przy przebudowie dokonanej w roku 1633, jak stwierdza znajdująca się wewnątrz kościoła tablica, przez Mikołaja Szyszkowskiego, ówczesnego zarządcy opactwa.

Z tym czasem wiążą się fundowane przez niego tablice nagrobne z napisami opata Jakóba Kuli † 1539 r. oraz opata Jana Lewickie-



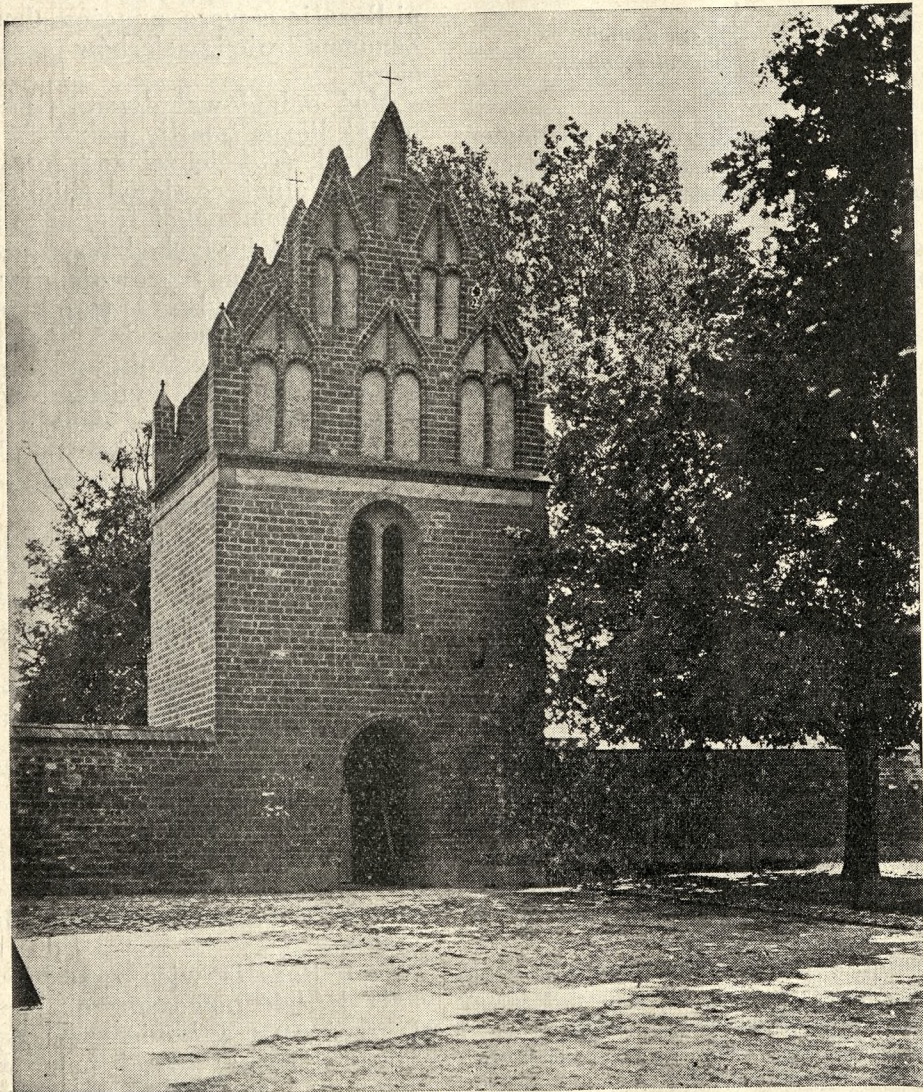
Budynek poklasztorny, część zrujnowana (ze zbiorów Warsz. Urz. Kons.).

go † 1565 r. Wnętrze kościoła posiadało ongiś pułap, szkoda, że zastąpiony w XVI wieku sklepieniem,

pod którym biegł fryz z medaljonów, pokrytych świetnami przedstawieniami biblijnymi. Dekoracyjnego wyposażenia dopełniał zachowany, niestety, tylko w fragmentach, dwudzielny, o francuskich reminiscencjach, portal. W portalu tym zachowały się ornamentacje roślinne i zwierzęce, lecz wiadomą jest rzeczą, że kiedyś były w nim również i sceny figuralne, biblijne. Do ciekawszych fragmentów należy balustradka chóru z drewnianymi zacheuszkami, artystycznie wykonanymi. Ołtarze utrzymane są w stylu barokowym, z wyjątkiem głównego renesansowego. W ołtarzu tym, ozdobionym figuralnymi przedstawieniami św. Wojciecha męczennika i św. Stanisława oraz noszącym herb wspomnianego już Mikołaja Szyszkowskiego, mieści się piękny obraz Madonny z XVI wieku, słynący cudami. W bocznych kaplicach, przed ołtarzami znajdują się dwie płyty grobowcowe z XVI w., przypuszczalnie kryjące pod sobą ciała miejscowych opatów.

Kościół miał być wzniesiony na wzór lyońskiego A. Martin d'Ainay, o czym cytuje za Gumowskim w dziele zbiorowym „Sztuka Polska” Dr Michał Walicki. Ciekawym materiałem rysunkowym są odnoszące się do Czerwińska szkice Wojciecha Gersona, pomieszczone w Tygodniku Powszechnym z r. 1885. A że zabytek ów był nie tylko znakomitemu rysownikowi natchnieniem, lecz również przedmiotem zainteresowań znawców zabytków i ich miłośników, świadczy dotychczasowa literatura.

Michał Szymański.



Brama późno-gotycka z XVI w. zw. Opata Kuli. (ze zbiorów W. U. K.).

Wielmożna dama

(r. 1846 i dalsze).

Bal dobroczynności, dawany w Salach Redutowych olśnić mógł swym przepychem niejednego bywalca, a cóż dopiero dziewczę młodą, wychowaną w zaścianku domowym!

Pan Felix, pięknie urodzony i pięknie tańczący kontredansa pod tony skrzypiec i pantaljona, mógł oczarować niejedną wielmożną damę, a cóż dopiero pannę Rozalję z krzyżkiem złotym na szyi i spuszczonej oczami?

A potem, po balu, kiedy przysłał kamelję białą, kiedy pudło cukrów czekoladowych złożył (co się „Sococnesco“ zwały), kiedy zajechał faetonem angielskim na parę koni — to już doprawdy nie można było mu dać rekuzy, jeno do księdza prowincała Norberta Kapucyna iść i dziękczynną Mszę św. zamówić.

Naręczony był familjant i miał dobra ziemskie, o siedem mil od Warszawy położone, nad bitym traktem do Poznania.

Zdawało się, że Rozalka marjaż robi piękny.

Lata jednak pokazały zgoła co innego.

Pan Felix lubił hulać i za maseczkami na redutach się uganiać. Lubiał rewersiki podpisywać, pugilares z biletów bankowych opróżniać, małżonki biżuterje w lombardzie zastawiać, wódki słodkie (w szczególności gdańskie) spijać, pieniądze posagowe żony z pierwszego numeru hypoteki podnosić, na kuligi i szlich-tady bez żony jeździć, srodze takową zaniedbując, jakoteż dziatki, których im Pan Bóg dał czworo.

Pani Rozalja przysięgła posłuszeństwo, jakoteż i wierność małżeńską do śmierci—to i los swój zносиła z poddaniem się woli Bożej, klęcząc godzinami, albo i krzyżem leżąc przed obrazem Matki Boskiej, co Ją Carlo Maratti przed wiekiem malował na blasze.

W sześć lat po ślubie pan Feliks w austerji, co się Utratą zwała, srodze zaniemógł. Co mu tam zaszkodziło? Sam propinator nie wiedział. Czy ten frykas z gołąbków? Czy kołduny? Czy węgorz po tatarsku?

Ledwo zdążono przewieźć go w porządnym powozie na stojących resorach do Warszawy, na Konwiktorską, ledwo zdążono mu tę świecę Gromniczną, zakupioną drugiego lutego, w rękę włożyć, a już ducha wyznął.

Pani Rozalja pochowała męża na Smętarczy Powązkowskim i wdową ostawa.

Tak się teraz czuła, jakoby utraciła dobrego i zacnego małżonka. Szaty czarne przyodziła i łzami go



„Wielmożna dama“
(rys. Jakimowiczówny).

opłakiwać zaczęła, dziatkom małym opowiadając, jakiego to szacownego ojca utraciły, a opiekuna.

Nie dziwota jednak, że w rok potem, w nowy stan małżeński wstąpiła.

Drugi małżonek fabrykantem pojazdów był i na Pivnej ulicy, nawprost klasztoru Augustjanów, w pawilonie mieszkał, co się z sześciu składał pokoiów.

Pokoje te pięknie były zastawione garniturami palisandrowemi i jesionowemi z bogatym wysłaniem. Przed kanapami stoły mahoniowe stały, a pod ścianami komody i sofy. Wszystkiego w tem mieszkaniu było pod dostatkiem. W kredensach serwisy barwiły się Baranowskie w kolorowy deseń malowane ze złoceniami. I srebra 18-ej próby leżały w puzdrach ciężkich i okutych. I cybuszki, a fajki rzędem stały u kominka.

Pani Rozalja na te dostatki, na ten ład, z chęcią patrzyła, a po ślubie z tych dostatków z chęcią korzystała, nie frasując się, jako bywało wpróżdzi.

Mąż sprzedawał karety poczwórne, nowego fasonu, i wysyłał je, aż do samego Petersburga. Sprzedawał też kocz na stojących resorach i kocz — karety na leżących resorach. I sprzedawał powozy zdatne do miasta i podróży z fordeklami i waliza-

mi. I sprzedawał karety na saniach i same sanie pięknie zdobne.

Mąż drugi, stateczny był w leciech i jako wdowiec wyrozumiały na potrzeby kobiece.

Mąż drugi biletów bankowych stuzłotowych dawał jej poddostatkiem.

Jednakże... Tęskność jakaś brała panią Rozalję za nieboszczykiem, takim młodym, pięknym, dobrze urodzonym, co zdaleka, zpoza grobu we wszystkie cnoty zdawał się być przystrojony. To modliła się za niego solennie, na smętarcz jeździła, we czwartek — dzień jego śmierci — suszyła, dzieckom o nim rozpowiadała i herb pierwszego męża na karecie wymalować kazała. Przy byle też okazji wypominała Zenonowi, że nie jest tak, jak Felix urodziwy i jako on wytworny, i jako on szlacheckiego pochodzenia...

Pan Zenon w zazdrość popadał o tego rywala, z którym walczyć nie mógł i nieraz zimną krew i taktowność obejścia tracił.

Dziatek ze ś. p. Felixem miała pani Rozalja czworo, z mężem drugim, Zenonem troje i pasierbów tegoż pięcioro.

Mąż pobudował dworek dostatni na tak liczną familję, pobok fabryki i w bliskości kolei żelaznej, przy ulicy Chmielnej, co się właśnie brukowała. Siedem pokoi frontowych na ulicę Wielką wychodziło, a cztery od podwórza na wozownię, drwalnię i stajnię patrzyły. Ganeczek na filarkach od strony Chmielnej, prowadził do ogrodu fruktowego, zdobnego w równiankę kwiecica. Wielki orzech włoski ocieniał dach dwoma kondygnacjami spadającą, a okiennice zielone na noc zamykały okna ośmioszybowe, dostatnie.

Pani Rozalji wadziła kolej żelazna. Parochody nie imponowały jej cudownością 19-go wieku cywilizacji, natomiast zadymiały jej pokoje i maciły ciszę.

Wszędzie było stąd daleko. Do kościołów staromiejskich, do klasztoru Augustjanów, do magli przy ulicy Freta się mieszczących, do składu herbaty chińskiej, nawprost Kopernika, do piekarni Wiedeńskiej przy ulicy Przejazd, w której sprzedawano chleb żytni na mleku i do Instytutu Wód Mineralnych, w ogrodzie Saskim.

Pani Rozalja więc wszędzie musiała jeździć powozem obszernym, zaprzężonym w konie rosłe, anglezowane, jednej maści jasno kasztanowatej. Na koźle ze stangretem w cylindrze i z tyłu z forysiem, także w cylindrze.

Jak przystało na wielmożną damę, przyodziana była zawsze pięknie i czarno. W futro niedźwiadki suknem kryte, w mantylę mannową, frendzlą obszytą i osłaniającą suknię obszerną. W czepiec pod brodą wiązany i okrywający włosy, gładko zaczesane.

Jak przystało na dobrą matkę dwanaściorga dzieci, chowała je pani Rozalja bogobojnie i uczenie.

Kazała im nosić medaliki srebrne, z wizerunkiem Św. Weroniki, że do niej nabożeństwo specjalne czuła. Kazała im po trzy Msze Święte pod rząd słuchać. Kazała im widowisko oglądać figur woskowych, nawprost pałacu Paca, gdzie pięknie przedstawiano Wieczerzę Pańską i trzecią część Pisma Świętego. I najstarszą z córek przyoblecze w habit, jako aspirantkę Wielebnych Panien Sakramentek.

Pani Rozalja najmuje guwernerów i guwernantki z wyższymi uzdolnieniami i talentami, aby nauczali młodsze latorośle. Nie dziw więc, że Kuńdzia, Pelesia i Ludwisia umiają już grać dwanaście sztuczek instrukcyjnych na fortepianie, a Adolfek, Gucio i Edwinek mogą już na Nowy Rok wypisać piękne laurik rodzicom, życząc im chwały, miłości i szkatuły.

Pociechę ma z dzieciek pani Rozalja, ale i zmartwienia tego poddostatkiem. Nieraz, po konsyljarza posyłać musi, a po te lekarstwa do apteki, mieszczącej się przy szpitalu Dzieciątka Jezus, na Świętokrzyskiej. Nieraz, o przyszłość ich zafrastruje się, patrząc na Honorcię szpetnej urody, na Kornelcię, której włosy słabo rosną (olejek doktora Bozgonzonia nie pomaga) i na słabe oczy Ignasia, któremu w jedenastu leciach już przykazano nosić lornet-

Bardzo wiele kobiet traci przedwcześnie urok i świeżość pierwszej młodości z własnej winy. Z karygodnym niedbalstwem używają one do mycia twarzy zwykłych mydeł toaletowych, nieprzetłuszczonych, lub alkalicznych, powodujących łuszczenie się naskórka, pęknięcie skóry i zmarszczki, będące rezultatem wysuszenia skóry. Kobiety te zdają się nie wiedzieć o tem, że wyborne Mydła Przetłuszczone M. Malinowskiego

całkowicie zabezpieczają od szkodliwych następstw, jakie wywołuje używanie zwykłych mydeł toaletowych. Nie chcą również pamiętać o dobroczynnym działaniu kremów ożywczych „Sportowego” i „Lanolinowego” M. Malinowskiego, ani o tem, że Pudry Hygieniczne M. Malinowskiego nadają cerze estetyczną matowość, niezatykając porów.

Apteka, Warszawa, Nowy Świat 31. Lab. Chem. Farm. Chmielna 4.

kę z dwoma szkiełkami, w srebro oprawnymi.

Pan Zenon dziatkami mniej się martwi. Obiecuje sobie córki wyposażyc i chłopcom naukę dać. Pieści je wszystkie narówni: „swoje”, „żony” i „wspólne” — bez różnicy. Wozzi je na Bielany i do Prateru (przy Nowej Drodze*) wprost młyna parowego i fabryk żelaznych), gdzie na huśtawkach, karuzeli i kręgielni bawić się im dozwoli.

Te zabawy mieszczańskie psują manjery dzieciak.

Więc pani Rozalja fochy czyni i usta sznuruje.

Wogóle, pani Rozalja coraz częściej z latami fochy czyni i usta sznuruje. Wszystko jej wadzi w małżonku... Nawet jego dobroć, stateczność i przekonania w polityce.

Szaleństwem półgłówka nazywa ona mężowski demokratyzm, chcący wywołać nowe powstanie.

Na szczęście więcej ludzi jest tak konserwatywnie usposobionych, jak ona i spokój panuje w Warszawie, pomimo, że w Galicji rzeź, w Berli-

nie — sądy katowskie, a na Syberji — zesłańcy.

Pan Zenon milczy. Zarzuciłby z chęcią żonie niejedno: ciasnotę pojęć, stanowłość, samolubstwo, ale boi się ją obrazić.

Więc przeprasza ją, jako prawdziwie wielmożną damę, za wszystkie swoje przewiny i... cnoty. Za swoje pochodzenie mieszczańskie, za swoją postać grubawą i pośledni wzrost, za swoją wyłysiałą głowę, okrytą szlafmycą, za swoją czułość dla dzieciak, za swoje przekonania polityczne i marzenia o zdobyciu twierdzy Paskiewiczowskiej, co się Iwangorod nazywa.

Nieraz, swoją zagniewaną srodze małżonkę, upominkiem przebłagać musi. Jakowąś bransoletą, zdobną w dwa rzędy perel, wysypujących się z rogu obfitości i jakowąś broszą, plectioną ze złotego wankocza, którą jubiler (w sklepie pod filarami) pięknym dla wielmożnej pani ozdobi rubinem.

Janina Wyczółkowska - Surynowa.

*) Aleje Jerozolimskie.

Matka królów

Mater Regum. — Ten lakoniczny napis na grobowcu w Ajaccio głosi przechodniom, że tam spoczywa Letycja, matka Napoleona. I ją „wydarło ziemi popiołom” i ją „wydarło wierzbie płaczącej”. Z Rzymu, gdzie spędziła ostatnie lata i dokonała swego żywota, kazał Napoleon III zwłoki matki rodu przewieźć do ukochanej ojczyzny. Z przekazem p. Staël mówiła o Bonapartach, jako o „dynastji Ajaccio”. Ironja nie na miejscu, bo jak się dowiadujemy z wydanej obecnie książki szkockiego lekarza R. Mc. Nair Wilsona, nie byli Bonapartowie ani parwenjuszami, ani dorobkiewiczami, zanim na tyle tronów wyniósł ich genjusz Napoleona.

Dr. Wilson, badacz historii tego

rodu, w dziele swoim „Letycja, Matka Napoleona” opowiada, jak to Bonapartowie przywędrowali z Włoch na Korsykę już w XVI stuleciu, a ród Ramolinich, z którego wywodziła się Letycja, jeszcze o 100 lat wcześniej. Po kądzieli pochodziła Letycja ze starego rodu Raubritterów. Związek Carla Bonapartego z piękną Letycją był umocnieniem dwóch władczych, do rządzących sfer należących, rodzin. Szlachectwo krwi ujawniało się nietylko w urodzie zewnętrznej małżonków. Carlo, adjutant generała Paoli, bojownika o wolność i niekoronowanego króla Korsyki, był romantyczny, namiętny, inteligentny. Letycja, o rysach zdradzających przymieszkę krwi greckiej, była mądra,

roztropna, oszczędna, doskonała gospodyni, kochająca żona i matka. Gdy Francja w r. 1769 nabyła za dwa miliony franków w złocie Korsykę od Genuńczyków, a prawo swoje musiała umacniać orężem, na polu bitwy między innemi Korsykankami znajdowała się i Letycja, wówczas już nosząca Napoleona pod sercem. „Nasza cała siła — woła — należy do Korsyki. Walczmy do ostatniego, by zwyciężyć lub zginąć”.

Carlo umiera młodo. 36-letnia Letycja, wdowa obarczona ośmiorgiem dzieci, idzie dalej niezachwiana po wytkniętej sobie drodze. Dzieci wychowuje w zasadach prawych i w korsykańskiej dumie.

„Nauka dumy, wpojona mi w

dzieciństwie przez matkę — pisze raz Napoleon — miała wielki wpływ na całe moje życie. Jej zawdzięczam swe tryumfy“. I znów w pamiętnikach: „Czuwa nad nami (matka) z nieustającą troską. Nie dopuszcza uczuć niskich lub nieszlachetnych. Nie pozwala na zetknięcie się z czemkolwiek, co nie jest szlachetne i wzniosłe“. Dwaj starsi synowie wychowują się we Francji. Gdy po ukończeniu szkoły wojskowej w Brienne, Napoleon odwiedza matkę na Korsyce, Letycja podziela jego wiarę w zwycięstwo idei wolności.

Po ścięciu Ludwika XVI, Paoli, przyjaciel Anglików, powraca na Korsykę. I tam wybuchają walki: Bonapartym, partyzantom Francji grozi vendetta. Letycja ucieka z dziećmi. Splądrowana Casa Bonaparte pada ofiarą płomieni. Po krótkim pobycie w Calvi, ląduje rodzina Bonapartych w Tulonie.

To było w czerwcu 1793 r. W Tulonie żyje Letycja prawie że w nędzy. Napoleon posyła jej połowę swego skromnego żołdu. Widziano często Letycję, piorącą bieliznę w strumyku. Dumy korsykańskiej nie straciła nigdy. Pożyczone pieniądze zwracała w terminie. Wsparcia nie przyjmowała nawet od przyjaciół. Po dwuletniej biedzie, nadchodzi od Napoleona przesyłka 30.000 franków. Rozpoczyna się zawrotna karjera syna. Tryumfy Napoleona napawają ją radością, ale w sercu i w myśli zawsze tkwi obawa: „pour-



Letycja Bonaparte według portretu Gérarda w ratuszu w Ajaccio.

vu que ça dure“. Lecz Napoleon nie jest jej ulubieńcem. „Kochałam zawsze najwięcej, najniešťeśliwszą z moich dzieci“. Sceptyk Lucien (późniejszy książę Canino) najbliższym jest jej sercu.

Do ukochanego Ajaccio wraca z tą samą godnością, z jaką wyjechała. Bez rozpaczki w ucieczce, bez zewnętrznych oznak radości przy tryumfalnym powrocie. Nie zmienia dawnego trybu życia. Doprowadza majątek, posiadłości do porządku,

oszczędza, gromadzi, zapobiega — typ dobrej, mądrej gospodyni, ze spokojem znosi niezwykle wyścig wypadków. Najwięcej wrażenia sprawia na niej tytuł, z jakim przyjęto ją w Rzymie. „Signora Madre“ „Madame Mère, pobożna katoliczka ceni wysoko słowa papieża: „Po Panu Bogu, Napoleonowi zawdzięczamy restaurację religji we Francji“.

Nie bierze udziału w koronacji. W dwa tygodnie później dopiero zjeżdża do Paryża „Jej cesarska mość Madame Mère“. Dostaje rezydencje, wysokie apanaże, cały dwór. Między nią a synem bywają dysonanse. Jest list, w którym zarzuca Napoleonowi, że, żądając od niej reprezentacji, nie daje jej odpowiednich środków. Przekaz na milion franków był odpowiednią. Powiadają, że jest skąpa. A przecież rozdaje znaczne sumy między biednych. Z przyrodnim bratem, kardynałem Fesch, łączy ją serdeczna przyjaźń.

„Każdy myślał, że byłam najšťeśliwszą matką pod słońcem — pisze później — a życie moje było pasmem mąk i zmartwień... Drżałam na myśl, że każdy posłaniec może być zwiastunem śmierci cesarza na polu bitwy“.

Oprócz obawy o trwałość fortuny, gnębi ją częsta niezgoda między jej dziećmi, gnębi nienawiść do Józefiny, której przeszłość i późniejsze grzechy nie były dla Korsykan-ki tajemnicą. To też z uczuciem za-



Cytadela w Calvi na Korsyce.

dowolonej vendetty kładzie swój podpis pod dokument rozwodowy. Dla Marji Luizy, drugiej żony Napoleona, żywi uczucia przychylnie. Wielkim dniem tryumfu jest dzień narodzin króla Rzymu. Ostatni błysk szczęścia. Potem, koło fortuny z zawrotną szybkością w odwrotnym potoczy się kierunku. Po abdykacji cesarza jedzie Letycja do Rzymu. Z wielką dobrocią przyjmuje ją papież Pius VII: „Witaj, córko, w tem mieście, z dawien dawna ojczyźnie wielkich wygnańców“.

Najszczęśliwszą czuje się Letycja, gdy w towarzystwie córki Pauliny dzieli z Napoleonem dni wygnania na Elbie. W nieszczęściu jest jej najdroższym, najbliższym. „Wolę być matką Napoleona, niż największą królową świata“.

Prawdziwą tragedją jest dla niej dopiero wygnanie cesarza na św. Helenę. Nie wolno jej towarzyszyć wygnańcowi. Duma korsykańska

cehuje chwilę pożegnania. „Adieu ma mère — Adieu mon fils“.

Dla prawowitego, w niezachwianem jej do śmierci pojęciu, władcy Francji, szuka oswobodzenia lub łaski. Napróżno! Przeżyła syna i wnuka. Napoleon w testamentie zapisał jej stolik i srebrną lampkę, stojące u jego łoża. Dalej popiersie księcia Reichstadt. Przed tem popiersiem do końca życia zapalała dwie świece. Ociemniała, przykuta nieszczęśliwym wypadkiem do łoża, znosiła w pokorze cierpienia fizyczne i duchowe. „Bóg był zbyt szczodry wobec mnie, a co mi dał, znów wziął, niech się stanie wola Jego“. Przy łożu umierającej 86-letniej staruszki bawi jedynie Jerome. Brat, kardynał Fesch, zaopatrzył ją na wieczną drogę świętymi sakramentami. „Jak bardzo na łożu śmierci szlachetna, spokojna, jej twarz podobną była do twarzy cesarza, piękna jeszcze w obliczu śmierci“.

St. Goryńska.



Nieodzowny w porze jesiennej:

dra-Lustra krem

ULTRASOL

chroni cerę przed ujemnymi wpływami atmosferycznymi i krzepi energją zawartych w nim promieni ultrafioletkowych.

Pierwsze latające małżeństwo

W pierwszych dniach marca 1809 r. przy łożu umierającego starca klęczała młoda kobieta, zalewając się łzami. Rażony apopleksją chory bełkotał z trudnością:

— Niestety! moja żono! po mojej śmierci będziesz musiała chyba się utopić, albo powiesić. Nie masz innych środków do życia...

Umierającym był Jan Piotr Blanchard, słynny aeronauta, który zdobył lataniem fortunę, a w spadku pozostawił jedynie długi.

(Widocznie bujanie w obłokach nigdy nie było lukratywnem zajęciem.)

Syn rzemieślnika, od dzieciństwa z pasją zajmował się mechaniką, a już w roku 1782 wymyślił i zbudował maszynę latającą, którą kierował i utrzymywał w powietrzu za pomocą sześciu rozsuwanych skrzydeł. Cały Paryż gromadził się przed bramą domu księdza Deviennay, gdzie ta maszyna się znajdowała.

Posypały się krytyki i zarzuty: na wszystkie wynalazca miał jedną, niezmienną odpowiedź: Polecie — kiedy i jak zechce!... Ale jednakże nie leciał...

Na jego szczęście zjawili się wówczas bracia Montgolfier ze swym balonem, wznoszącym się przy pomocy rozgrzanego powietrza. Ich pokaz na dworze w Wersalu był uwieńczony triumfem. Natychmiast Jan Piotr postanowił wyzyskać ten pomysł, swój „wóz“ przyczepi do balonu, a wzniósłszy się na pewną

wysokość, odetnie sznury wiążące go z nim i poleci dalej zapomocą swych skrzydeł i steru, zabezpieczony olbrzymim spadochronem.

Pozwolono Blanchard'owi na otwarcie subskrypcji, która przyniosła olbrzymią sumę 50.000 lirów. Na polu Marsowem wśród tłumów publiczności odbył się pierwszy wzlot. Blanchard odciął liny i kierując swym wozem, przeleciał parę razy przez Sekwanę i wylądował przy moście Sèvres.

— Wzniosłem się na wysokość 2.000 stóp! — oświadczał dumnie. — Nikt mi nie dorówna! I latałem przeciw wiatrom!

— Latał z wiatrem, — kiwali głowami sceptycy, „a zle języki ułożyły

Au champ voisin il resla là;

Au Champ de Mars il s'envola,

Au champ voisin il vesla là;

Beaucoup d'argent il amassa;

Messieurs, sic itur ad astra!

Po kilku nowych próbach, zniechęcony tem, że nie otrzymał żadnej nagrody oficjalnej wówczas, gdy inni lotnicy — rywale jego — bracia Mongolfier, Charles Robert, Pilâtre de Rosier opływali w zaszczyty i nagrody pieniężne, wyjechał nagle do Anglii i przeleciał kanał La Manche z pasażerem dr. Jefferies. Wjazd jego do miasta odbył się triumfalnie karetą, zaprzężoną w sześć koni.

— Niech żyją podróżnicy po-

wietrzni! — wołały tłumy, nie znając jeszcze nazwy „lotnik“.

Mer miasta Calais uroczyście wręczył mu złote pudełko z wrytym balonem. Wewnątrz znajdował się dyplom na honorowego obywatela Calais, suma 3.000 liwrów i zapewnienie rocznej pensji w kwocie 600 liwrów.

Zawistnicy — jakich nie brak nigdy — nazwali go wówczas „Don Quichotte de la Manche“.

W Paryżu przyjęto go entuzjastycznie: król ofiarował mu gratyfikację 12.000 liwrów z pensją 12.000 liwrów.

Blanchard osiąga szczyt marzeń: lata bądź sam, bądź z pasażerami znakomitymi, jak chevalier de Lespinaer, astronomem Laplace, książe Heski — i t. p., powtarza swe wzloty w Londynie, w Hadze, w Hamburgu, w Frankfurcie, w Norymbberdze, w Brukselli, w Rouen, w Aix la Chapelle, w Gandawie, w Nancy, a nawet w Nowym Yorku... Wszędzie zbiera duże pieniądze, a wydaje jeszcze więcej. Bo ileż przygód, ile awantur wcale nie romantycznych przeżywa podczas swych podróży!

Raz gdy wylądował na łączce koło Hagi, właściciel kazał mu zapłacić za zniszczenie trawy oraz procenty, a gdy biedny aeronauta opierał się wygórowanym żądaniom, chłopci miejscowi kijami potłukli misterną łódź i porwali gazę oraz powłokę płócienną.

Często zaczepiał dzwonnice, drzewa, dachy, kominy i zawsze kazało mu płacić...

W Lille wyrzucił z gondoli psa ze spadochronem. Ten pasażer wylądował doskonale. Odtąd powtarza te eksperymenty ze zwierzętami, zawsze z powodzeniem. Cóż, kiedy zjawia się konkurent: Garnerin wyzyskuje pomysł, lądując ze spadochronem sam osobiście... Blanchardowi nie pozostawało nic innego, jak też zaryzykować swoją osobą, co też uczynił „startując” w ogrodzie Tivoli, a lądując w Lasku Bułońskim.

We Frankfurcie wiatr rozdziera balon, mający unieść lotnika, a jego wywraca. Zebrana publiczność zawiędzona w swych oczekiwaniach na spektakl rzuca się na nieszczęsnego aeronauta i zaledwie księżę Dwóch Mostów ratuje go, zabierając go do swej karety.

W Gandawie wznosił się zbyt wysoko i nie mogąc wytrzymać zimna (może był w stratosferze?), odcina łódź, czepia się sznurów, ale jakoś ląduje szczęśliwie. W Tyrolu podejrzewają go o szerzenie idei jakobińskich i zamykają go w fortecy...

A we Flandrji zamknęli go w przeddzień wlotu przezorni ławnicy miejscy, aby im, broń Boże, nie umknął z zebraniem z opłat groszem...

Ileż razy chłopci biorą go za czarownika latającego i po wylądowaniu chcą morderować!...

Napróżno szuka mecenasów na dworach cudzoziemskich: cesarz Józef II mówi, że czeka, by dowiedziono mu pożyteczności statków latających, a król pruski oświadcza, że takie doświadczenia mogą sprowadzić zamieszki w jego państwie.

Zato honorów i zaszczytów nie

niezrównany
środek na porost
włosów

USUWA ŁUPIEŻ
ZAPOBIEGA WYPADANIU
WŁOSÓW

wystrzegać się
naśladowictw
prawdziwy tylko z firmy:

HENRYK ŻAK DOZNAŃ



brak. Często publiczność wyprzęga konie i sama go obwozi po mieście, w teatrach śpiewają mu specjalne pieśni i kuplety. Płyną dary: złote zegarki, branzoletki, tabakierki, modele... Dwunastu księży niemieckich podpisuje składkę na balon, mogący unieść pięćdziesiąt osób, a w Palais uroczystie inauguruje kolumnę, upamiętniającą pierwszy przelot nad kanałem.

W pierwszych dwóch dniach lutego 1808 r. Blanchard wlatuje poraz ostatni w zamku de Bois koło Hagi, ale podczas wzlotu tknięty atakiem, nie może podtrzymać ognia i pada z wysokości sześćdziesięciu stóp. Ludwik Bonaparte, ówczesny król Holandji, bierze go do siebie i przywraca do życia, a właściwie do agonji.

Pozostaje po nim trzydziestoletnia zaledwie wdowa Marja Magdalena Blanchard. Nie ma ona bynajmniej ochoty, ani utopić się, ani powiesić, jak jej doradzał umierający małżonek. Chce żyć. Przecież latała już z mężem i dalej latać będzie! Zarobi tem na utrzymanie!

Odważnie wzięła się do dzieła. Jako aeronautka objeżdża liczne miasta, a „latanie” staje się dla niej rzeczą tak zwykłą, że często zasypia w gondoli w oczekiwaniu świtu, który ułatwi lądowanie.

W Rzymie i w Neapolu zbiera laury i wcale pokaźne sumy. Ale we Francji znów „brudna konkurencja”: córka owego Garnerin'a, rywala jej męża, wyskakuje z spadochronem... Marja - Magdalena Blanchard nie da się wyprzedzić! Odtąd na każdej większej uroczystości we Francji „gwoździem” zabawy jest pokaz lotu, startu ze spadochronem jednej z dwóch zawodniczek.

Dziesięć lat latała zuchwała aeronautka. Dnia 16 lipca 1819 r. miał się odbyć sześćdziesiąty siódmy lot Marji Magdaleny. Program zapowiadał, że na wysokości zapali fajerwerk! Tłumy, żadne widowiska, zapełniły ogrody Tivoli. Balon jej strojny w chorągiewki kolorowe i pięknie iluminowany, kołysał się lekko, przytrzymywany sznurami. Wybiła godzina dziesiąta: lotniczka wskoczyła do łódki.

— Puścić sznury! — woła.

Balon unosi się, ale zbyt obciążony, grozi zaczepieniem o drzewo. Pani Blanchard pozbywa się balastu i rzuca kilka świec rzymskich. Nagle, widocznie od tych świec zapala się cały aerostat i staje cały w płomieniach jak olbrzymi fajerwerk... Jeden moment — i na oczach przerażonej publiczności spada nieszczęsna lotniczka ze swą gondolą na dom przy ul. Chanchat, przedziurawiając dach...

Śmierć nastąpiła skutkiem uduszenia, zwłoki nie uległy zmasakrowaniu. Ogłoszono doraźną zbiórkę, która przyniosła sto ludwików na opędzenie kosztów pogrzebu. Marja Magdalena Blanchard, pierwsza lotniczka, spoczywa na cmentarzu Perre Lachaise, a grobowiec jej, zapomniany, porasta mchem i rozsypuje się w proch...
Jot.

Echa poznańskie

Najpierw były inauguracje potyczne: teatralne i kinowe. Teatr Nowy przez „Krag interesów” powiódł nas z wielką finezją w bajkowy świat arlekinów i kolombin.

Po słonecznej miłości japońskiej („Markiza Yorisaki”) i lodowej miłości północnej („Eskimo”) odbyła się cicho, skromnie, bez rozgłosu — inauguracja prozaiczna: po wakacyjnej przerwie otwarto 18 września kuchnię Organizacji Studentek Uniwersytetu Poznańskiego. Wprawdzie rok akademicki zaczyna się dopiero w pierwszych dniach października, jednakże „Dom Studentek” przy ulicy Słowackiego już zapełniony. Prawie wszystkie wróciły do pracy wcześniej.

Godzina południowa. W czystych estetycznie urządzonych jadalniach zasiadają przy stolikach koleżanki. W kącie, po czarnym pudle pianina ślizgają się słoneczne promienie, zaglądające poprzez gęstą koronkę żółknących liści jesiennych.

Radjo gra jakieś smętne tango, wśród stolików krzątają się ładne i sympatyczne koleżanki - kelnerki. W takim nastroju najskromniejszy obiad (za 70 gr.) lepiej smakuje studentkom, aniżeli wykwintne danie w zadymionej restauracji.

* * *

Poznańska Organizacja Studentek jest jedyną w tym rodzaju w całej Polsce. Przy innych uniwersytetach

studentki należą do mieszanych Bratnich Pomocy. We Lwowie istniało międzyuczelniane „Koło Studentek”, które jednakże wobec nowego prawa o stowarzyszeniach straciło podstawy bytu. Krakowska „Jedność” nie ma wszechstronnej rozbudowanej działalności samopomocowej.

Spotyka się często zarzuty, że takie rozbijanie pracy na dwie organizacje nie jest racjonalne, że młodzież powinna działać razem. Pamiętam burzliwe walne zebranie Organizacji Studentek w roku 1930, kiedy dyskutowano sprawę połączenia jej z Bratnią Pomocą. Stworzyliśmy wtedy zwartą opozycję,

LEKARZE STOMATOLOGI
POLECAJĄ

ZNANA
Z SWYCH ZALET

PASTĘ
DO ZĘBÓW ALBODONT

TUBA 75GR i 140
J. & S. STEMPNIOWICZ-POZNAŃ

pragnąc stanowczo zachować swoją odrębność organizacyjną.

Jakie były nasze argumenty, i dlaczego tak energicznie broniliśmy swego stanowiska?

Będąc w mniejszości leczebnej, nie znajdują studentki na terenie Bratniej Pomocy należytego zrozumienia i traktowania ich potrzeb. Kierownicze stanowiska w zarządzie zajmują koledzy, koleżanki więc nie mają okazji do wyrobienia organizacyjnego. Powierza się im najwyżej funkcje... sekretarza. Wcielone do takiej organizacji nie wyrabiają w sobie poczucia odpowiedzialności, jakie dają samodzielne poczynania. Nie może zastąpić tego społeczna praca w „sekcji koleżanek“.

Wreszcie zadaniem organizacji samopomocowej jest przede wszystkim opieka materialna w trudnych warunkach podczas studjów. W sytuacjach bardzo przykrych biedy lub choroby, studentki z większą śmiałością zwracają się po zapomogi do koleżanek, aniżeli do kolegów.

I coraz większem zaufaniem darzą swoją organizację, która rozwija się z roku na rok. Liczy obecnie około 850 członkiń, z których 12% mieszka we własnych „Ogniskach“. Cztery „Ogniska“ znajdują się w domu przy ul. Słowackiego, który został ofiarowany Uniwersytetowi Poznańskiemu przez panią Chądzyńską do użytku młodzieży, a Uniwersytet przeznaczył go na dom mieszkalny dla studentek. Parter i trzy piętra stanowią poszczególne „Ogniska“ mieszkaniowe, na niskim parterze znajduje się kuchnia i świetlica OSUP. Piąte „Ognisko“ mieści się w wynajętym mieszkaniu przy Górnej Wildzie. Pozatem kilkanaście studentek mieszka w Domu Akademickim przy ulicy Św. Marcina, gdzie niema zorganizowanego ogniska.

Organizacja Studentek prowadzi te wszystkie działy pracy, które stanowią program „bratniopomocowego“ zrzeszenia akademickiego.

Szczególnie dużą pozycję w rocznym budżecie stanowi suma, wydana na pomoc zdrowotną dla koleżanek. W tej dziedzinie współpracuje O. S. z poznańskim oddziałem Stowarzyszenia Kobiet z Wyższem Wykształceniem, którego kilka członkiń ofiarowało prawie bezinteresowną pomoc lekarską dla chorych studentek.

Na podstawie stałej umowy trzy lekarki badają dwa razy do roku mieszkanki „Ognisk“. O wynikach badań informują Kierowniczkę Sekcji Zdrowia, która dba o to, by chore kole-

żanki nie mieszkały w „Ogniskach“.

W trosce o zdrowie studentek urządzono w Zakopanem kolonję profilaktyczną przeciwgruźliczą. Korzystało z niej 9 koleżanek (w tem 8 stypendystek!) w okresie najbardziej niebezpiecznym dla słabych na płuca: od 15 marca do 15 kwietnia.

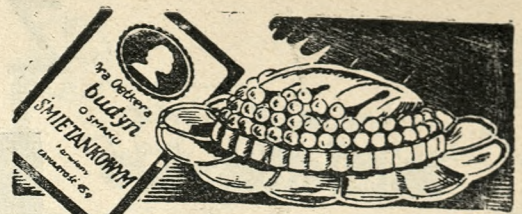
W lecie bieżącego roku urządziła Organizacja Studentek dwie kolonje letnie: w Jastarni nad morzem i w Murzaszynie koło Zakopanego.

Zorganizowany ubiegłego roku kurs gospodarstwa domowego spotkał się z dużym zainteresowaniem. Snać studentki poznańskie doceniają potrzebę ogólnych wiadomości z tej dziedziny dla każdej kobiety.

Ośrodkiem towarzyskiego życia jest świetlica w domu przy ul. Słowackiego z biblioteką i czytelnią czasopism. Przez cały ubiegły rok akademicki odbywał się tam co miesiąc „Żywy dziennik“ w niedzielę po południu. Była to impreza pośrednia między „Słówkami Młodych“ a „Stratosferą“. Organizowane przez Związek Polskiej Młodzieży Demokratycznej „Słówka Młodych“ nastrojone były na ton bardzo poważny! „Stratosfera“ Bratniej Pomocy tryskała kaskadami beztroskiego humoru akademickiego. „Żywy dziennik“ był stopnio-



Dom Organizacji Studenckich U. P. przy ul. Słowackiego 20 w Poznaniu.



Czy zna Pani już
najnowszy
Budyń śmietankowy
Dr. Oetkera?

Przepyszny specjal - smaczny i tani!
Prosimy spróbować!

Wszędzie do nabycia.

1 paczka tylko 21 gr.
dla 4-6 osób.

Dr. A. Oetker



waniem od poważnego artykułu wstępnego, który poruszał aktualne zagadnienia kobiecego ruchu, przez literaturę, feljton akademicki, poezję, plotki i humor przechodził do ulubionego dancingu.

W bieżącym roku „Żywy dziennik“ wypływa na szersze wody, przynosi się do „Iksu“, gdzie zaprodukuje się „młode talenty“ studentek już w pierwszym tygodniu października.

Pełna inicjatywy przewodnicząca O. S. szepnęła mi jeszcze o innych projektach na nowy sezon pracy. Może udać się kwadrans akademickie w radio?... Brawo! Więc może głosy poznańskich studentek zadrżą wnet na falach eteru...

Organizacji Studentek nie brak w Poznaniu sympatji. Oddział Stowarzyszenia Kobiet z Wyższem Wykształceniem uważa ją słusznie za pepinjere najlepszych sił społecznej pracy.

Wiele członkiń O. S. współpracuje ze Związkiem Obywatelskiej Pracy Kobiet, wstępując do Koła Młodych przy tej organizacji powstałego.

W najlepszych jednak sferach społeczeństwa wielkopolskiego jest Organizacja Studentek jeszcze mało popularna. Najczęściej uważa się ją za wyodrębnioną część Bratniej Pomocy Studentów U. S.

Jako kuźnia ruchu kobiecego O. S. powinna stać się soczewką, skupiającą wszystkie troski kobiet wielkopolskich. Wolą i energią młodych pięknie rozbudowana, jest dla studentek błogosławioną przystanią i oparciem.

Modeluje dusze przyszłych wychowawczyń, lekarek, matek. W jej rękę leży typ kobiety jutra. A zatem?...

Zofja Karczevska.
Nr. 40 — 1245

Z t e a t r ó w

„Ułani księcia Józefa“ i „Pani X“,
Bissona w teatrze Ateneum.

Jeszcze „wielkie“ teatry idą rozpędem letniego repertuaru, a te mniejsze (czytaj „prywatne“) już się ruszyły. Z tego powodu mamy trochę niespodzianek. W „Ateneum“, gdzieśmy przywykli do repertuaru awangardowego w sensie zarówno artystycznym, jak społecznym, gdzie szalał Schiller i trzewiami targał Jarczyk — sielanka. Dwa przedstawienia na jeden wieczór: o 6-ej wodewil z tańcami i śpiewami, — o 8.30 „Pani X“, Bissona, typowy melodramat z zabójstwem, sądem, absyntem, egiptem, szantażystami. Jednym słowem repertuar nie z Powiśla, ale z przedmieścia. Dla kogo? Nie wiem. Na „Ułanów księcia Józefa“ można chyba poprowadzić rekrutów i szkoły powszechne, — dla gimnazjów to już za niska skala. „Pani X“ to odcinek z brukowca, wtłoczony w ramy sceny, a zatem coś dla ulicy, dla szerokiej publiczności, drobnych sklepiarzy, maglarek i przekupek. Bo wątpię, czy inteligentny robotnicarz znajdzie smak w tej szmirze.

I aż żal, że i w jedną i drugą rzecz włożono tyle uczciwej, solidnej pracy reżyserskiej i aktorskiej. Wszyscy bywalcy teatralni znamy dobrze z teatru Nowego Biegańskiego, jako reżysera sztuk psychologicznie skomplikowanych, sztuk, wymagających subtelnych cieniowań dialogu, wymownych pauz, dyskretnych przemilczeń. Te wszystkie zasoby, nieocenione na scenie komedjo-



Mela i Hanka w „Moralności Pani Dulskiej“.

wej, tutaj sprawiają wrażenie kapitału, umieszczonego na chwiejnej hipotece wątpliwego powodzenia. A szkoda, bo z temi siłami aktorskimi, jakimi rozporządza Biegański, można rzucić się na lepszy wodewil i na lepszy melodramat, jeżeli już koniecznie trzeba uprawiać te

dwa zwyrodniałe teatralne gatunki. O „Ułanach“ niema co mówić. Miltarno-erotyczna lukrecja w blaszanym półkwatku. Ozdobą widowiska były tańce chłopskie Ziuty Buczyńskiej i zespołu Mieczysławskiej. Te echa międzynarodowego konkursu tańca w Wiedniu to kwiatek przy kożuchu. Kwiatek nic nie stracił, ale kożuch nic nie zyskał.

Natomiast „Pani X“ budziła ogólne zaciekawienie, dzięki osobie Solskiej, grającej rolę tytułową. Oczekiwanie nie zawiodło. Znakomita artystka do galerji niezapomnianych postaci kobiecych, przez siebie odtworzonych, dorzuciła jeszcze jeden ekspresjonistyczny portret ludzkiego nieszczęścia. Pani X. Solskiej była prawdziwa w swym upadku, wstrząsająca w walce, wymowna w milczeniu i patetyczna w śmierci. Był to wspaniały popis wielkiego talentu i wielkiej kultury, dowód, że te dwa elementy, razem złączone mogą wykrzesać piękno nawet z wyrobów scenicznych, nic z prawdziwym artystyzmem nie mających wspólnego.

I znowu odruch żalu. Dlaczego tak rzadko widuje się Solską w dobrych sztukach? Przecież jej epizod w „Zbrodni i Karze“ był też arcydziełem sztuki aktorskiej. S. P. O.

„Moralność Pani Dulskiej“ w teatrze
Aktora.

Tyle razy już się widziało tę „Moralność“, że niemal umie się na pamięć pewne zdania i akcenty. Zdawałoby się, że zgrana jest



Perzanowska, Zimińska i Dobrowolska w „Moralności Pani Dulskiej“.

do nitki i nie już z niej ani na niej wygrać nie można. A jednak... Perzanowska, i jako reżyser i jako aktorka, wydobyla z Dulskiej jakieś nowe światła, które są czemś więcej niż blaskiem próchna w zatechłym mroku kołtuńsko - secesyjnego saloniku. A pozatem dowiodła, że ten teatr jest naprawdę teatrem Aktora przez duże A. Pokazało się to najoczywściej na eksperymencie z „Moralnością“. Byliśmy świadkami całkowitej supremacji aktora nad autorem. Nikt się nie pytał Zapolskiej o zdanie. Każdy grał poswojemu i najlepiej, jak umiał i jak mu się zdawało. I choć wszyscy byli to rasowi aktorzy, jak ułał, z tego indywidualnego przeciągania struny wyszła pewna niejednorodność, brak sprzęgła między poszczególnymi wysiłkami.

Naturalizm? tak, to zdaje się, było założenie Perzanowskiej. Ale pierwsza Zimińska wylała się z tego założenia, stylizując swoją Juljasiewiczową na fin de siècle. Żelichowska ze swojej Hanki, tej typowej polskiej dziewczuchy zrobiła zewnątrznie jakąś Marusię z rosyjskiej piosenki, w charakterystycznej chustce, zawiązanej pod brodą. Jedynie Tadrachowa zachowała ścisłą regionalność i w stroju i w intonacji.

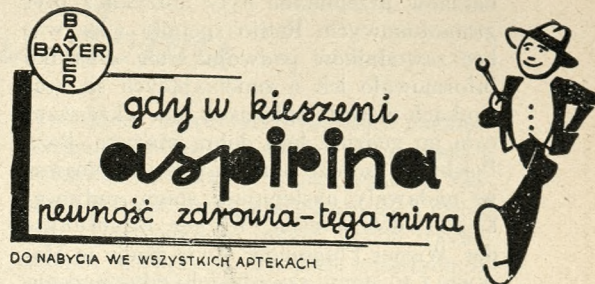
Jak to jest naprawdę z tą regionalnością Dulskiej? Bo dotychczas zawsze Felicjan odbywał swój tradycyjny spacer na Wysocki Zamek, a tu raptem usłyszeliśmy o kopcu Kościuszki i o Smocznej Jamie? Jak jest naprawdę w oryginale? I czy Zapolska miała na myśli krakowskie, czy lwowskie kołtuństwo? Postać Zbyszka przemawiała raczej za Krakowem. Zwłaszcza w interpretacji Daniłowicza, ten kawiarniany Hamlet załatuje mocno Przybyszewszczyzną. Ale to jeszcze nie dowód. Bo i we Lwowie sporo było takich mydlków, protestujących przeciw kołtuństwu uwodzeniem służących i nocnymi pijatykami. Zbyszko Daniłowicza trochę był zamało peleryniarz, zanadto Raszkolnikow.

Czyhaliśmy na Jaracza. „Wszyscy dybia na rydza“. Wiadomo, że wymowna maska Jaracza starczy za słowo. Ale w postaci Dulskiego nie wszystko było wypowiedziane do końca. Przywykliśmy Felicjana uważać za ofiarę, a tu z ofiary wylał wygodnicki matol. Jego jedyny wybuch słowny: „Niech was wszyscy djabli“ nie miał właściwego akcentu, został zrucony od niechcienia, jakby na marginesie sztuki.

Natomiast w roli Hesi pełną piersią wygrywała się Jaraczówna. Z rozwydrzonego podlotka zrobiła jakiegoś domowego pożeracza, małego wampira, tuczącego się ludzką podłością i nieszczęściem. Zato jej partnerka swoją sentymentalną i słabowitą Melę zbudowała na jednym płacziwym tonie.

Dulska Perzanowskiej ukazała nam swoje nowe, przedtem jakby niezauważone oblicze. Była raczej karykaturą mieszczańskiej matrony, niż złowrogim demonem ogniska domowego, niż wiedźmą, za jaką ją dotychczas zwykliśmy uważać. Miała momenty minoderyjnej kokietery — n. p. przy przymierzaniu kapelusza. A zatem myślała, że może się jeszcze komuś podobać, ma się rozumieć, że nie Felicjanowi...

A teraz pytanie zasadnicze? Czy warto ciągle jeszcze wystawiać „Moralność pani Dulskiej?“ Czyż stosunki w niej przedstawione, nie są już dziś anachronizmem? Możliwe nato odpowiedzieć, że kołtun jest nieśmiertelny, tylko zmienia nazwę. Dziś nazywałby się pewno „wieczną ondulacją“. Dzisiejsza pani Dulska miałaby jedną przychodnią służącą i nie potrzebowałaby tolerować romansów syna z pokojówką, bo te sprawy załatwiałaby się przez „mażeństwo koleżeńskie“. Nieprzewidzianych konsekwencji i kosztów teźby nie było, bo od czego „świadome macierzyństwo?“ Hesia i Mela chodziłyby same do szkoły, po lekcjach na plażę, a w zimie na dancing, gdzie tańczyłyby tango ze swemi rówieśnikami,



gdy w kieszeni
aspirina
pewność zdrowia - tego mina

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH APTEKACH

podczas gdy Dulska rozplywałaby się w objęciach fordansera za pieniądze, zaoszczędzone na gazie i elektryczności. Felicjan byłby już dawno bezrobotnym emerytem i prowadziłby meldunki w kamienicy Dulskich.

Tylko tak samo jak trzydzieści lat temu, dzisiejsza Pani Dulska puszczałaby w ruch maszynę domową, użerałaby się o każdy grosz, robiła piekło o niestarte kurcze, o niezgaszoną elektryczność, teraz już zasłaniając się naukową organizacją pracy.

Jedną z naszych koleżanek - i terek, zresztą całkowite przeciwieństwo kury domowej, typ, którego nie można zgola pośądzić o solidaryzowanie się z kołtuństwem, zauważyła nie bez słuszności, że należałoby przeprowadzić rehabilitację pani Dulskiej. Bo przecież właściwie mówiąc, ta kobieta żyje szczęściem najbliższych i aż się dławi od poświęceń.

I na tem właśnie polega ostrzegawcze znaczenie „Moralności Pani Dulskiej“ dla wszystkich bez wyjątku dobrych (w swoim mniemaniu) pań domu i najlepszych (w swoim mniemaniu) matek. Sygnał S. O. S.! Czuwaj, abyś nie stała się do niej podobna!

S. P. O.

Kącik radjowy

REPORTAŻ Z BALONU „SYRENA“.

Głos człowieka z przestworzy.

Słuchacze Polskiego Radja zainteresowani byli niewątpliwie ciekawą audycją, którą otrzymali w niedzielę w późnych godzinach wieczornych. Po starcie balonów kulistych do zawodów o puchar Gordon Bennetta wzniósł się w powietrze poza konkursem balon „Syrena“. W gondoli tego balonu zainstalowano krótkofalową stację nadawczą, przy pomocy której inż. Waś informował słuchaczy Polskiego Radja o swych wrażeniach podczas lotu nocnego wślad za balonami zawodników.

Po raz pierwszy w dziejach radjofonii polskiej słuchacze mieli możliwość odbierania u siebie w domu tego, co mówił speaker wzniesiony o 400 m. nad powierzchnią ziemi. Trzeba przyznać, że pod względem efektu wzruszeniowego audycja ta wypadła pierwszorzędnie.

Na lotnisku Mokotowskim zainstalowano specjalnie czuły odbiornik krótkofalo-

wy połączony kablem z aparaturą nadawczą Polskiego Radja.)

Po wystartowaniu balon „Syrena“ nadał krótki foniczny komunikat, który odebrała radiostacja Portu Lotniczego na Okęciu, odpowiadając, że odbiór jest dobry i czyści i że nadaje się do transmisji dla słuchaczy Polskiego Radja. Wówczas to o godz. 23.50 „Syrena“ nadała pierwszy komunikat. Słuchacze dowiedzieli się, że w tym momencie balon znajdował się nad Wołominem, to znaczy w odległości paru kilometrów od Warszawy. Lot był pomyślny.

W 20 minut później inż. Waś podał drugi komunikat również transmitowany przez Polskie Radjo: lecimy w kierunku wschodnim wśród kompletnej ciszy... Z ziemi słychać szczekanie psa... Księżyc przebija przez chmury, pod gondolą lekka mgielka... Lecimy na wysokości 400 metrów... 15 stopni ciepła, jesteśmy bez marynarek, z gołymi głowami — ciężej! Nadaję na fali 88,1 m. Na uszach mam słuchawki odbiornika turystycznego i w ten sposób kontroluję sam siebie: słyszę to, co mówię do

mikrofonu aparatu krótkofalowego, gdyż równocześnie odbieram swój głos na fali Polskiego Radja. Porucznik Kowalski ironicznie się uśmiecha, słuchając mojego głośnego... Skróciłem antenę, bo była za długa... Lecimy!...

Reportaż ten prostotą słów sprawił wielkie wrażenie. Słuchacze z pewnością zastanowili się nad cudownymi możliwościami radja, które pozwala słyszeć głos człowieka z przestworzy.

Balon „Syrena“ poza dreszczykiem sensacji radjowej — miał inne poważniejsze zadania do spełnienia. Przez cały czas lotu utrzymywał on łączność z radiostacją portu lotniczego na Okęciu, gdzie odbierano jego meldunki dotyczące się różnych technicznych szczegółów lotu.

Po zakończeniu zwykłych audycji Polskiego Radjo nadawało komunikaty dla załóg balonowych biorących udział w zawodach o puchar Gordon Bennetta. Z tego względu polskie stacje radjowe czynne były przez dwie noce z rzędu, a mianowicie dnia 23 i 24 września. Informacje dla załóg

balonów przeplatane były muzyką z płyt gramofonowych. Radjo spełniło więc wobec zawodników podwójną rolę. Nietylko informowało ich o zmieniających się warunkach meteorologicznych, ale także skraçało im godziny lotu dobrą muzyką. Poza Polskiem radjem biuletyny meteorologiczne nadawały następujące stacje radjowe: Kenigswusterhausen, Wiener Rundfunkse der, Wiener Flugsender, dwie stacje w Moskwie i 10 stacyj szwedzkich, gdyż przypuszczano na podstawie kierunku wiatrów, że balony znajdują się w obrębie zasięgu stacyj szwedzkich.

Jak widzimy, radjo nie zaniedbało niczego, aby zapewnić zawodnikom pewny, bezpieczny lot, względnie pomóc w uzyskaniu lepszego wyniku.

Z ubiegłego tygodnia

Manifestacja naszego społeczeństwa. — Oparcie się o tradycję liberalizmu dziejowego. — Nasza samowiedza i niezłomność zasad. — Sukcesy i zwycięstwa na wielu odcinkach.

W ubiegłą niedzielę dało społeczeństwo nasze wyraz temu, że w ważnych sprawach państwa potrafi zgodnie i jednomyślnie zmanifestować swoją postawę. Przyjazd ministra Becka do Warszawy był tym razem najlepszą okazją do zaznaczenia, że ożywia nas wszystkich jedno dążenie: zachowanie powagi i godności naszego państwa na terenie międzynarodowym.

Wystąpienie naszego ministra w Genewie w dniu 13-go września przyjęło społeczeństwo polskie z entuzjazmem. Pisaliśmy o tem, wskazując na znaczenie enuncjacji naszego ministra, dziś należy tylko dodać, że treść tej enuncjacji utrzymana

została w całej pełni, mimo, że na Radzie Ligi oświadczenia większości delegatów państw nie były po naszej myśli. Za zgodą naszego delegata po dyskusji nad sprawą traktatu o mniejszościach nie doszło do głosowania nad wnioskiem. Nie zmienia to oczywiście w niczem postanowienia naszego rządu, że odtąd nie będzie brał pod uwagę ingerencji Ligi w sprawach naszych mniejszości narodowych.

Tłumną manifestacją witano ministra Becka po drodze, którą przejeżdżał pociąg. Tu, w Warszawie, wyszedł na spotkanie ministra rząd in corpore, marszałkowie Sejmu i Senatu grupa posłów z prezesem Sławkiem na czele, prezydent miasta, generalicja, delegacje organizacyj i niezliczone masy mieszkańców stolicy. Do ministra przemówił rektor Michałowicz, wskazując na to, że „chlubiliśmy się zawsze i chlubiemy, że dzieje naszej ojczyzny nie znają Nocy św. Bartłomieja, nie znają wojen religijnych, nie znają auto-da fé“. Powołując się na naszą gościnność dla tych, którzy, czy to na wschodzie czy na zachodzie Europy we własnych ojczyznach doznawali prześladowań zakończył: „Cały naród stoi za tobą, Panie ministrze, stoi za rządem, stoi za Tym, który kieruje losami Ojczyzny i losami naszymi — dumnych obywateli państwa polskiego!“.

Wistocie — nieliczne jeszcze lata naszego odrodzonego bytu państwowego wypełniała bezustanna praca nad sobą, nad własnym poczuciem, nad utrwaleniem w nas samowiedzy o tem, że posiadamy państwo silne i rządne. Posłużymy się tu zwanym ujęciem ministra Becka tego, co się w Polsce i w Polakach dokonało w tym niedługim okresie wolności: „Marszałek Piłsudski — powiedział minister Beck do zebra-

nych tłumów — swą pracą postawił państwo nasze w rzędzie państw skryształizowanych, zorganizowanych i silnych, w rzędzie państw szanujących siebie, szanujących inne i wymagających od innych szacunku dla siebie. Dzisiejszą manifestację rozumiem jako objaw stwierdzający niezłomność tych zasad. Te proste zasady są zarówno podstawą polityki zagranicznej, jak i podstawą postępowania każdego obywatela. Staralem się tylko spełnić mój obowiązek“.

Tak — wiemy dziś o tem, że możemy polegać na tych, którzy, stojąc u steru, spełniają swoje obowiązki! Sceptycyzm, ta wada najbardziej dokuczliwa i deprymująca, zwolna przestaje nas trapić. Notujemy sukcesy i zwycięstwa naszej polityki, naszej sprawności, energii i brawury. Coraz więcej zdajemy sobie sprawę z tych wartości aktywnych, które stawiają nas w pierwszym rzędzie wśród państw i narodów. Liczne międzynarodowe zjazdy i kongresy, obradujące w ostatnich miesiącach i tygodniach w Polsce, ujawniają światłość naszej nauki i wnoszą w zespolowy dorobek umysłowy wysoki poziom naszej pracy.

Superlatywy te uzbierały się z oczywistych faktów i dlatego sądzimy, że miejsce ich jest w tem sprawozdaniu, które dajemy naszym czytelnikom każdego tygodnia.

H. N.

SPROSTOWANIE.

W Nr. 39 „Bluszczu“ pod jedną z ilustracyj do art. p. t. „Jedna z ostatnich entuzjastek“, błędnie umieszczono podpis „Wodospad Imatra“. Ilustracja ta bowiem przedstawia jeden z wartkich potoków górskich Finlandji.



Przyjazd i powitanie ministra Becka na Dworcu Głównym w Warszawie.

Kobieta w świecie i w domu

„PRINCESS CHARMING“.

Naręczona najmłodszego z synów angielskiej pary królewskiej, księcia Jerzego, księżniczka Maryna grecka, stanawszy w tych dniach na ziemi angielskiej, pozyskała sobie odrazu względy Anglików.

Już na przystani parowców w Folkestone oczekiwaly na księżniczkę tłumy ciekawych i powitały ją entuzjastycznie, gdy opuszczała z rodzicami parowiec, którym przyplęnęła z Francji. W okolicach zaś dworca kolejowego Victoria w Londynie publiczność zapełniła wszystkie ulice tak zwartą masą, że policja konna musiała torować drogę samochodom królewskim.

Obdarzona wdziękiem niepospolitym, a przytem skromna, naturalna, bez cienia zarozumiałości, młoda naręczona księcia Jerzego sprawia takie wrażenie na nieskorych zwykle do manifestowania swych uczuć Londyńczyków, że nazwali ją zaraz „Princess Charming“ (urocza księżniczka). Angielki zaś usiłują naśladować we wszystkich szczegółach jej ubrania, które wybiera i nosi z wrodzonym gustem. Od chwili więc przybycia księżniczki Maryny do Londynu noszony przez nią, nasunięty na ucho, brunatny beret baskijski stał się ostatnim wyrazem mody. Wszędzie go widać teraz na głowach Angielek i na wystawach sklepów londyńskich. A że beret ten dostosowany jest do popielato-brunatnego kostjumu, noszonego przez księżniczkę, więc i kostjумы takie stały się do tego stopnia tak modne, iż krawcy londyńscy nie mogą ich nastarczyć swoim klientkom.

Na wiadomość, że róże są ulubionymi kwiatami księżniczki, szafiry zaś i perły ulubionymi jej klejnotami, na londyńskim rynku kwiatów wnet podrożały róże, a u jubilerów — szafiry i perły.

Książę Jerzy zamówił u jednego z jubilerów londyńskich pierścionek zaręczynowy, złożony z dużego kaszmirskiego szafiru rżniętego na kształt szmaragdu w podłużny czworobok i z dwu mniejszych brylantów tego samego kształtu w platynowej oprawie. I oto prawie z dnia na dzień w wystawowych oknach jubilerów stolicy Anglii ukazały się takie pierścionki, a panie londyńskie zakochały się nagle w szafirach. A że nie każdą z nich stać na szafiry prawdziwe, wielkim więc pokupem cieszą się teraz imitacje tych kamieni.

To samo tyczy się pereł. Poznikały tak modne ostatnimi czasy różnokolorowe naszyjniki z kamieni półszlachetnych i z masy bakelitowej i na szyjach wszystkich pań widać sznury pereł. I rzeczywiście, najczęściej perły te nie widziały nigdy głębin morskich, są bowiem fabrykatem francuskim, niemieckim lub angielskim, ale trudna rada, skoro tylko perły nosi uroczą księżniczka Maryna.

PODARKI NA CHRZEST MARJI-PII

Radość z narodzin małej księżniczki domu sabaudzkiego zaćmiona była zawodem, iż nie przybył Italji nowy następca tronu. Mimo to zainteresowanie szerokich rzesz ludowych i życzliwość społeczeństwa ota-



cza kolebkę małej Marji-Pii. Zamek królewski, górujący swemi galerjami i tarasami nad Neapolem, otoczony jest tłumami ludności, ciekawej jakichkolwiek wiadomości o książęcych mieszkańcach.

Księżniczka Maria - Jose postanowiła sama karmić córeczkę, a ta oznaka tkliwości macierzyńskiej szczególnie rozczula kobiety włoskie.

Neapolitaniki opowiadają sobie o prześlicznej wyprawce, jaką dla maleństwa każała zrobić w Turynie (Turyn jest miastem mody włoskiej) babka, królowa Helena włoska. Po sto razy oglądają w gazetach fotografie pokoiku, całego białego, jaki jest pierwszym mieszkaniem książęcego dziecka, podziwiają opis artystycznie wykonanej kołyski.

Chrzest małej księżniczki odbędzie się prawdopodobnie dopiero za miesiąc. Lecz już obecnie jeden z wybitnych byłych kombatanów złożył na ręce ojca księżniczki, księcia Humberta, szklanekę ze słynnego szkła z Murano z wodą z rzeki Piave, nad którą odbyła się słynna bitwa, aby wodą tą skropiono czoło dziecka przy chrzcie. Dwaj artyści złotnicy ofiarowali śliczną ampułkę srebrną i tace, potrzebne przy obrzędzie chrztu.

TRAGICZNY ZGON PIERWSZEJ POWIETRZNEJ STEWARDESSKI.

Na wszystkich niemal polach pracy rywalizują kobiety z powodzeniem z mężczyznami, na niektórych nawet zwycięsko. Dziedziny powietrzne nie są również obce kobietom. Mamy wszak wiele nazwisk bohaterkich pilotek, których sława rozbrzmiewa głośnie echem na obydwu półkulach.

Nie było jednak dotychczas stewardessek powietrznych, owych dobrych duchów opiekuńczych, które z gracją i powabnym uśmiechem usługiwałyby pasażerom wielkich okrętów powietrznych, umilając przykre nieraz chwile. Dopiero od niedawna zgłosiły się kobiety na te trudne posterunki pracy i zostały zaaprobowane. Są to typowe wyrazieličky ducha nowej generacji, która spełnia nieustraszenie swoje ryzykowne nieraz obowiązki.

Prasa francuska donosi właśnie o tragicz-

nym zgonie stewardesski samolotu pasażerskiego, kursującego między Zurychem a Stuttgardem. Samolot runął wskutek eksplozji motoru, dwunastu pasażerów i członków załogi poniosło śmierć. Osoba trzynasta jest bezimienna. Na liście zmarłych figuruje pod skromnym mianem „stewardesse“. Zginęła bez nazwiska pierwsza pionierka kobiecej usługi w powietrzu, jak bezimienne było jej życie.

MRS. ROOSEVELT — NAJPRACOWITSZĄ KOBIECĄ W STANACH ZJEDNOCZONYCH.

Żona prezydenta Stanów Zjednoczonych zdobyła sobie swą wytrwałością i niezłomną zapobiegliwością humanitarną zasłużoną opinię najpracowitszej kobiety w Ameryce. Że opinię tę podziela cały ogół, świadczy o tem charakterystyczna ilustracja pewnego magazynu, przedstawiająca dwóch górników, którzy obserwują z ciekawością parę oczu, błyszczących w głębi szybu, przyczem jeden górnik mówi do drugiego: „Człowiecze, spójrzno, przecież to pani Roosevelt!“.

Istotnie pani Białego Domu jest wszędzie, gdzie tylko okazuje się potrzeba jej pomocy i współpracy. Jej zjawienie się w szybie kopalni nie wywołałoby nawet wielkiej sensacji! Jak ruchliwa i niezłomowana jest żona prezydenta, świadczy o tem fakt, że w pierwszym roku rządów w Białym Domu odbyła ona 48.000 km. samolotem, koleją, okrętem i samochodem, jedynie w celu niesienia pomocy bliźnim. Zakres jej działalności obejmuje wszystkie gałęzie pracy społecznej, począwszy od dożywiania głodnych dzieci i wypuszczonego z więzienia przestępców, a skończywszy na akcji dokształcania dorosłych. Jej sekretarze i sekretarki siwieją dosłownie wskutek przeciążenia pracą. Pani Roosevelt znajduje przytem czas na pisanie artykułów do gazet, na przemawianie przed mikrofonem, na odbywanie konferencyj prasowych, a nawet pomaga dzielnie w pracy swemu mężowi. Nic dziwnego, że nie znajduje już wolnej chwili na branie udziału w przyjęciach i herbatkach, na których powinna być obecna jako „First Lady“ kraju. W tych wypadkach zastępują ją członkinie jej rodziny.

Przyjaciele i ludzie, którzy mają sposobność stykać się częściej z Mrs. Roosevelt, nie mają dość słów podziwu dla jej witalności. Najmniej jest może zadowolona z tego nadmiaru pracy sama pani Roosevelt. Niedawno skarżyła się przedstawicielom prasy, że ludzie, którzy potrzebują jej pomocy, odnoszą to wrażenie, iż jest ona własnością ogółu. Mogłaby wprowadzić skwitować ich okazaniem braku zainteresowania dla ich bolączek, lecz nie może do tego stopnia przezwyciężyć swojej natury. Po dawnemu przyjmuje zatem każdego, kto tego pragnie. Cóż z tego, kiedy nie ma już czasu na załatwienie swych własnych spraw. — „Lecz w ten sposób uczę się korzystać z każdej wolnej chwili dla dobra ogółu“ — zakończyła pani Roosevelt swój wywiad.



MŁODOŚĆ I URODA W STAREM ANGIEL-
SKIM MIASTECZKU.

Najpiękniejsze dziewczęta Europy kroczą przez ciche uliczki starej angielskiej miłośny Hastkings przed wyborem na Miss Europę.

PIKNIK U P. ROOSEVELT.

Prezydent Roosevelt wraz z matką i małżonką zaprosili grono przyjaciół na śniadanie do swej posiadłości w Hyde-Parku. Menu było bardzo skromne, składało się z pieczonej kukurydzy i z parówek, przyczem goście sami się obsługiwali. Na zdjęciu widzimy panią Roosevelt, która w kominie piknikowym sama sobie piecze na węglach kukurydżę.



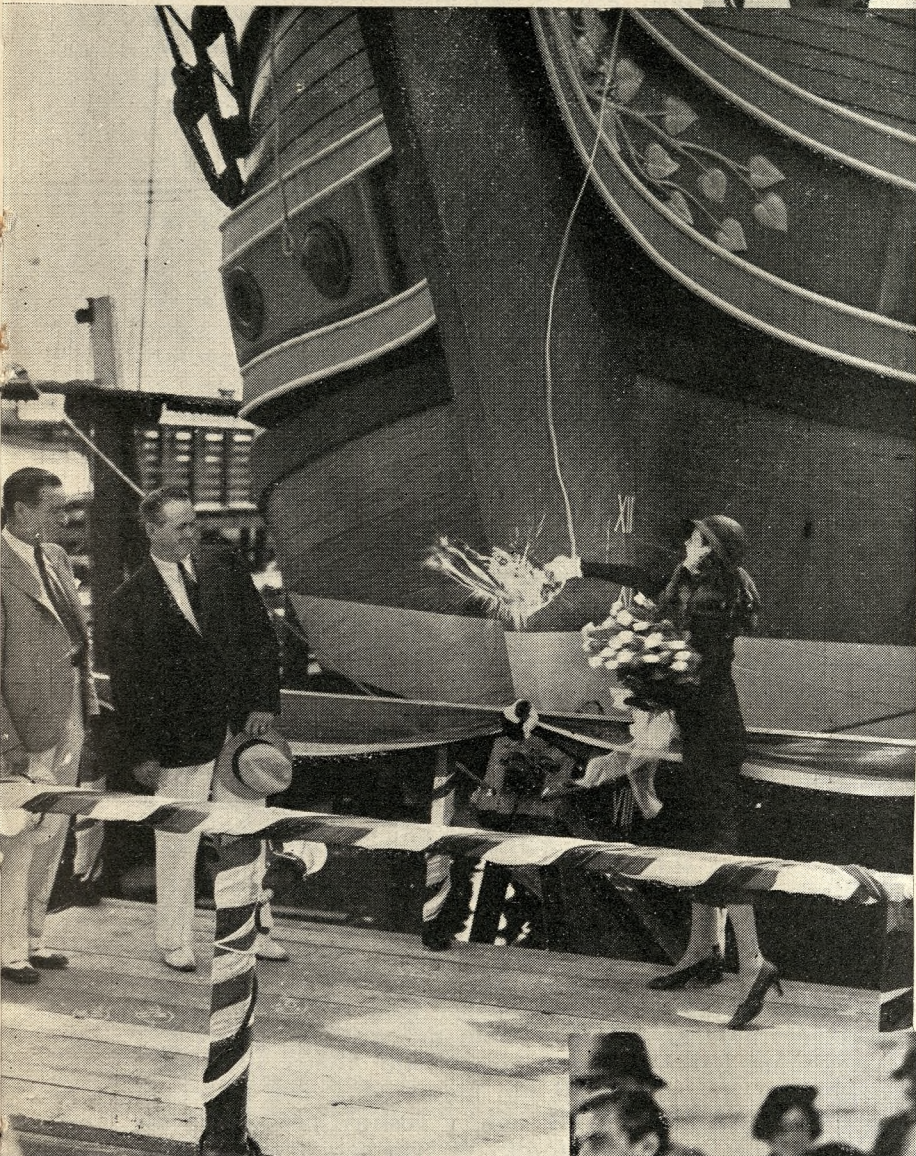
KAPELA KOBIET Z PLEMIE-
NIA UZBEKÓW.

Na zdjęciu widzimy kapełę kobiet z plemienia Uzbeków, popisującą się grą na narodowych instrumentach w Klubie Kobięcym w Chodźencie.



MŁODZIEŻ UWIEŃCZONA

W dn. 16 września odbyła się w Niemczech uroczystość ludowa przy udziale 30.000 dzieci szkolnych, które wykonały zespołowe tańce i śpiewy na odkrytym powietrzu. Na zdjęciu widzimy grupę strojnych w wieńce dziewczynek biorących udział w popisach.



OBLEWANIE NOWEGO OKRĘTU.

Elżbieta Allen, angielska gwiazda filmowa przy nadaniu nazwy świeżo wykończonemu w dokach angielskich okrętowi; rozbija o jego rufę butelkę szampana.

ŚMIERĆ „BABKI ROSYJSKIEJ REWOLUCJI“.

W jednej z wiosek w pobliżu Pragi zmarła w wieku lat 90 słynna rewolucjonistka, Katarzyna Breszko-Breszkowska, która spędziła 45 lata na zesłaniu na Syberji

PRZED ZAMÓWIENIEM WYPRAWY KSIĄŻĘCEJ W PARYŻU.

Książę Jerzy angielski i jego narzeczona Maryna grecka na dworcu wschodnim w Paryżu, dokąd przybyli z Monachjum.



Przesady i obiczenia graczy

Każda gra, której wynik zależy od szczęścia, wywołuje zawsze cały szereg przesądów. Nie są wolni od tego i gracze na loterii klasowej.

Skoro tylko rozpoczyna się sprzedaż losów do pierwszej klasy, co właśnie w tej chwili ma miejsce, tyśiące ludzi obmyśla i kalkuluje, jaki numer wygra, aby grać na cały los, czy na ćwiartki i t. d.

Wielu opiera swoje horoskopy na snach. Gdy śnią się pieniądze, woda, albo nawet... pchły, oznacza — tak mówią — pewną wygraną. Numer wtedy jest obojętny. Natomiast, gdy śnią się pewne ilości przedmiotów czy zwierząt, należy wybrać numer o odpowiedniej ilości cyfr. Gdy śni się dokładnie numer — wielu uważa to już za zupełnie pewną przepowiednię i martwią się,

czy taki numer jest już sprzedany. Poza tem istnieją teorie, gdzie należy szukać wyśnionych liczb, czy na początku, czy też na końcu numerów losów.

Poza snami dobrze podobno „robi” — obrócić portmonetkę w rękę na widok pełni księżyca. Przypadkowe uwalanie bucika na drodze, stało się już przysłowiem i wróży pewną wygraną. Nie być przez kogoś znajomego poznanym, przepowiada również pieniądze.

Lecz co najdziwniejsze, że wszystkie te przesady przeważnie się sprawdzają. Wygląda to nieprawdopodobnie, a jednak jest prawdziwe.

W jaki sposób?

Odpowiedź na to da prosta arytmetyka. Jeśli bowiem weźmiemy

pod uwagę np. najbliższą loterię klasową, której ciągnięcie rozpoczyna się 18 października i obliczymy wygrane, zobaczymy, że około 58% losów wygrywa. Innymi słowy na każde 12 losów 7 wygranych. Zrozumiałe jest zatem, że przeciętnie również na 12 osób, które kierują się przesadami, siedmiu osobom przesady te się spełniają.

Oczywiście nie każdy zaraz wygrywa milion, ale znane są i te częste wypadki, że ludzie wygrali po kilkadziesiąt czy nawet kilkaset tysięcy i twierdzą z całą pewnością, że zawdzięczają to wodzie, księżycowi, czy też pchłom.

Ale jeden z tych nowych milionerów z ostatniego ciągnięcia zapewnia, że szczęście przyniosła mu podkwa.

Ogrodnictwo i hodowla

Kwiaty pokojowe w październiku

Zabrać resztę roślin pokojowych z ogródków, werand i balkonów. Ostatnie zabiera się agawy, draceny, juki, sanry i t. . odporne rośliny.

Ukończyć przesadzanie wyjmowanych z gruntu i skrzynek begonii, fuksji, hortensji, pelargonji itp.

Wnoszone do domu rośliny powinny być od razu gatunkowane na te, które zimą przebędą w opalonym pokoju, na te, które potrzebują dość niskiej temperatury, ale sporo światła i na te, które zimować będą w piwnicy.

Piwnica, w której zimować mają kwiaty, musi być sucha, jasna i doskonale przewietrzana, przed wniesieniem tam skrzynek z kwiatami powinna być doskonale wysprzątana, wysiarkowana, wybielona wapnem i przez kilka dni wietrzona.

Rośliny sposobią się do zimowego spoczynku, dlatego teraz nie wolno ich pobudzać do wzrostu żadnymi nawozami pomocniczymi.

Podlewanie musi być ostrożne, dawki wody stopniowo zmniejszane i do podlewania używać wody o pokojowej temperaturze, a nigdy wprost z kranu. Każdorazowo należy dać tyle wody, aby ta cała bryłka przejęła, wodę ze spodeczków zlewać starannie.

Rośliny w pąkach podlewamy więcej, ale również umiarkowanie. W połowie miesiąca należy wykonać sadzenie cebulek kwiatowych.

Skrzynki balkonowe należy opróżnić z ziemi, doskonale je oczyścić, wyszorować i przechować do wiosny w suchym miejscu. Można też zostawić je na balkonie, wetknawszy w nie gęsto na pół metra wysokich gałązek drzew iglastych. Wygląda to ładnie i balkon sprawia wrażenie zamieszkałego oraz przywabia to ptaki, o których też pamiętać należy, ustawivszy tam deseczkę, na którą sypać będziemy ziarenka lub karmik.

Marja Dąbrowa.

Zimowanie roślin balkonowych

Niejednej miłośniczce kwiatów sprawia wielką trudność przechowanie skrzynek z roślinami balkonowymi zdrowo przez zimę.

Nie jest to wcale takie łatwe, bo potrzeba do tego najcenniejszej rzeczy człowieka współczesnego, t. j. miejsca. Miejsca zwykle zaś mamy bardzo mało. Bez dobrej piwnicy, parapetów okiennych w chłodnych ubikacjach i t. p. nawet nie należy się kusić o przechowywanie roślin balkonowych. W ciemnej a wilgotnej piwnicy muszą rośliny pognić, przechowywane zaś w ciepłych z natury rzeczy ubikacjach mieszkalnych nie mają normalnego okresu spoczynku, rosną bezustannie, wypuszczając długie, anemiczne, jasnozielone pędy, z których żadnej pociechy być nie może.

Dlatego też zaznaczam z całym naciskiem, że przez zimę warto przechowywać rośliny balkonowe

jedynie tam, gdzie rozporządzamy widnem, suchem, a zabezpieczonym od mrozu i nagłych zmian temperatury pomieszczeniem. Kto takiego pomieszczenia nie posiada, musi się zadowolnić sadzeniem co wiosną roślin na świeżo. Rośliny, hodowane powszechnie na balkonach, należą przeważnie do grupy roślin bardzo wytrzymałych, u których dopiero pierwszy przymrozek jest zwiastowaniem końca kwitnienia.

Kto chce zdrowo rośliny przez zimę przechować, ten nie powinien dopuścić do tego, aby mróz zniszczył tkanki liściowe.

Przenosimy tedy skrzynki do pokoju, gdzie możemy się pełną ich krasą cieszyć do końca listopada. Jeśli nie mamy skrzynek przenośnych, należy rośliny przesadzić do doniczek. W tym celu trzeba kwiaty wyjąć ostrożnie ze skrzynki i zasadzić tak, aby możliwie najmniej naruszyć bryłę korzeniową.

Zwolna kwitnienie ustaje, wtedy podlewamy coraz skąpiej, zmniejszając stopniowo dawki wody, aż w końcu przenosimy rośliny na zimowe leże.

Przed wyniesieniem robimy jeneralny porządek, usuwając wszelkie zeschnięte i wogóle marniejące listki i gałązki, oraz oczyszczamy je z pasożytów. Zeschnięte części usuwamy ostrożnie. Liści, które jeszcze mocno trzymają się łodygi, nie należy obrywać lecz obcinać w ten sposób, by część ogonka liściowego została przy łodydze.

Jesień a szkodniki w sadach

Choć to jest bardzo niemiłe, ale trzeba stwierdzić, że lwia część owoców, produkowanych przez naszych sadowników, daje towar bardzo lichy.

Winą tego nie są ani warunki klimatyczne, które zwłaszcza dla jabłoni mamy doskonale, ani gatunki, bo w wielu sadach mamy pierwszorządne. Winę za to ponosi ogół, który zupełnie jeszcze nie docenia ważności niszczenia szkodników drzew owocowych. Jednostka tu nie pomoże, bo pasożyty odznaczają się niesamowitą wprost mnożnością i dlatego też, aby walka z nimi mogła wydać rezultaty, musi być prowadzona na wszystkich frontach i wszyscy muszą potrzebę jej rozumieć.

Trzeba ze smutkiem stwierdzić, iż ogrodnicy nasi w 99% prawie do walki ze szkodnikami przywiązują zbyt małą wagę. Na zachodzie dawno już zrozumiano doniosłość tej sprawy i efekt jest ten, że gdy w klasycznym kraju jabłoni chce się zjeść dobre jabłko, trzeba sięgnąć po zagranicę.

Walka ze szkodnikami musi iść w dwóch kierunkach:

1) Niszczenie szkodników, które się już pojawiły, co z reguły jest trudne i kłopotliwe; 2) o bezporównania większym znaczeniu, jest stosowanie środków profilaktycznych, czyli zapobieganie naprzód, aby wrogowie naszych sadów nie mogli się nadmiernie rozmnażać.

Najodpowiedniejszą porą do stosowania owych zabiegów zapobiegawczych jest jesień, t. j. moment, gdy z drzewa zaczynają liście opadać.

Najczęściej spotykanymi wadami naszych owoców, które powodują ich zły wygląd, niedorozwój i trudne przechowanie są: robaczywość owoców i ich plamistość.

Plamistość owoców jest wywołana czarnym grzybkim o łacińskiej nazwie *Puccinia Monilia*. Grzybek ten bytuje na jabłoniach, gruszech i czereśniach, powodując: przedwczesne opadanie liści, plamy na owocach, pęknięcie i chropowatość kory na gałązkach, przez co te usychają.

Życie owego grzybka jest nadzwyczaj ciekawe. Grzybnia wegetuje na gałązkach całe lata i tworzy tu czarno zabarwioną podkładkę, z której co rok wyrastają trzonki i przechodzą na liście. Na liściach żyje cały rok, a na gałązkach wiele lat. Jesienią rozwijają się na opadłych liściach otoczone z workami, które dojrzewają dopiero na wiosnę, w roku następnym. Wówczas to wystrzyknięte z worków zarodniki zarażają młode liście i gałązki.

Aby zmniejszyć zasieg tego pasożyta, należy starannie usuwać z ogrodu owoce, liście i t. p. części drzew nim porażone. Po opadnięciu liści należy je zgarnąć wraz z zeskrobaną martwicą z pnia drzew i spalić. Mniejsze gałązki, na których zauważymy ów grzybek, należy również od razu obciąć i spalić.

Patrzac uważnie na drzewa, zauważymy, że po opadnięciu liści z drzew, pozostały na nich pojedyncze osobniki. Często się zdarza, że wiszą również zeschnięte owoce. Liście te i owoce należy starannie zebrać i spalić, gdyż w nich zimują szkodniki, jak np. kuprówka rudnica, niestrzyp, głogowiec i t. p. Po zebraniu wyżej wymienionych liści, owoców i obcięciu dotkniętych zarazą gałązek należy drzewa opryskać mlekiem wapiennym z siarczanem żelaza.

Roztwór powinien być stosunkowo bardzo silny, bo bierze się na każde 15 litr. wody 1 kg. siarczanu żelazowego i 1 kg. wapna.

Przez opryskanie tym roztworem niszczymy zarówno zarodniki grzybków, jak i jajka owadzie. Opryskanie to należy powtórzyć poraz drugi przed nabrzmieniem pąków na wiosnę.

Jako środek przeciw robaczywieniu owoców, stosuje się znów opaski chwytne i lepne, aby wylapać na nie owady wędrujące po pniach.

Opaski takie powinno się zakładać w okresie od sierpnia do końca października i co kilka dni je kontrolować, t. j. opaski chwytne palić wraz z zawartością, a opaski lepne raz wraz smarować na świeżo. W końcu grudnia zdejmujemy wszelkie opaski i palimy.

Opaski zakłada się na pniach mniej więcej na 1 m. od ziemi oraz na grubszych gałęziach. Gąsienice kwieciana, jabłkowca, owocówki jabłoniowej i t. p. chętnie wchodzi pod takie opaski.

Koszt opasek chwytnych jest minimalny, bo sporządzić je można z grubego powroza ze słomy związanego na krzyż lub też z kawałka grubej szmaty, którą przytwierdzamy do drzewa drutem lub sznurkiem. Lep do opasek przyrządzić można następująco: 3 kg. kalafonji roztopić na ogniu i do tego dodać 200 gr. żółtego wosku, gdy mieszanina trochę ostygnie, dodajemy 2 kg. pokostu lnianego.

Przechowywanie karczochów przez zimę

Karczochy to śliczna roślina, która oprócz tego, że posiada tak duże walory dekoracyjne, dostarcza jeszcze wykwiintnej jarzyny, zaczyna zyskiwać po naszych ogrodach coraz większe prawo obywatelstwa.

Hodowla karczochów jest łatwa i nie nastęcza nawet amatorowi specjalnych trudności.

Jedno, co nie zawsze się udaje, to jest zdrowe przechowanie roślin przez zimę i to jest powodem, że wiele osób zniechęca się do pielęgnacji tego warzywa.

Podaję poniżej wypróbowany sposób zimowania tych roślin. W październiku przed nadejściem przymrozków w dzień pogodny i suchy ścinamy całą roślinę na 10—15 cm. nad ziemią. Powstanie stąd dosyć wielka rana, którą należy zasypać sproszkowanym węglem drzewnym i pozwolić jej doskonale obeschnąć.

W tym stanie pozostawiamy roślinę do końca miesiąca, t. j. do nastania silniejszych przymrozków, następnie zasypujemy ją całą trocinami, suchym piaskiem, igłami leśnymi i t. p., na to ustawia się stary kosz lub skrzynkę drewnianą stosownej wielkości. W razie bardzo silnych mrozów na to przykrycie narzucamy słomianego nawozu, liści, okładamy gałązkami iglastych i t. p.

Ile razy w zimie nastają ładniejsze okresy, przykrycie zewnętrzne usuwamy i kosz lub skrzynkę zdejmujemy na parę godzin, aby rośliny się przewietrzyły.

Z nadejściem silniejszych przymrozków znów jak wyżej.

W naszym klimacie karczochy wyjątkowo tylko giną od mrozu, natomiast wilgoć szkodzi im bardzo i w czasie długotrwałych odwilży wiele roślin ginie. Wskazanym więc jest przechować pewną ilość egzemplarzy w piwnicy.

W tym celu po ścięciu łodyg i zeschnięciu ran wykopujemy karczochy ostrożnie wraz z bryłą korzeniową i sadziny je tak, jak rosły w gruncie w piwnicy.

W zimie co dwa tygodnie należy karczochy przeglądać i ściierać powstającą gdzieniedzie pleśń.

Na wiosnę po odjęciu zbytecznych pędów, które nam posłużą jako sadzonki, sadzimy karczochy na miejsce stałe, koniecznie na taką samą głębokość, na jakiej rosły w roku poprzednim. Zasadzone za głęboko zaczynają gnić i licho rosna.

Przy dobrem przechowaniu możemy użytkować te same krzaki w ciągu lat sześciu. Po upływie tego czasu karleją i wydają mniej szybkich kwiatowych.

Konwalje

Październik jest najlepszym momentem do zakładania nowych grzęd konwaljowych i doprowadzanie starych do porządku.

Konwalje mają zwyczaj bardzo szybko się rozrastać, tak że się za-

gęszczają i wzajemnie przeszkadzają sobie, co następnie musi się ujawnić na kwitnieniu.

Przesadzanie skutecznie można wciągnąć całej jesieni, bo od połowy września, aż dopóki mróz ziemi w swoje okowy nie chwyci.

Wybiera się dla nich stanowisko zaciemnione i wilgotnawe, ale nie mokre.

Ziemia musi być głęboko, bo przynajmniej na dwa sztychy skopana i doskonale doprawiona, bo konwalia należy do roślin żarłocznych i silnie wyczerpujących ziemię, gdyż do rozwoju liści i bogatego kwitnienia potrzebuje dużo pokarmów.

Pamiętać jednak należy, iż jeśli dajemy pod nie świeży nawóz, to należy go dać przynajmniej na miesiąc przed zamierzonym sadzeniem, gdyż roślina ta nierozłożonego nawozu w ziemi nie znosi. Jeśli zmuszeni jesteśmy przed sadzeniem, uciec się należy bezwarunkowo tylko do kompostu.

Kompostu nie należy żałować, ale dać go trzeba bogato, bo konwalje pięknymi kwiatami sowicie się za niego wywdzięczą.

Mając miejsce pod nie zupełnie przygotowane, wykopuje się konwalje z zagęszczonej grzędy i dzieli ich podziemne rozłogi tak, aby każda sadzonka miała jeden lub parę kielków.

Następnie robimy znacznikiem rzędy odległe od siebie co 25 cm. i na nich układamy sadzonki, przysypując je ziemią na grubość 3—5 cm.

Przed nastaniem większych chłódów należy na grzędę konwajową narzucić lekką potrzaskę ze słomistego obornika.

Wyługowane z potrzaski takiej, soki pokarmowe zasila ziemię i doskonale wzmogą kwitnienie.

Z nastaniem wiosny wyługowaną słomę należy zgrabić, ziemię między konwajami zmotyczyć i stale utrzymywać czysto od chwastów.

Tak posadzone konwalje wcześniej rozpoczną wegetację i gdy tylko śnieg zejdzie i ziemia trochę się ogrzeje, ukazą się kielki, a w maju nieliczne jeszcze kwiaty. Dopiero w następnym roku kwitnienie będzie bogate, a kwiaty duże i dorodne.

Pędzenie konwalji jest łatwe i bez trudu, wysadzając je co trzy tygodnie, możemy mieć w domu te śliczne kwiatki całą zimę. Odznaczają się one niezwykłą trwałością i przy starannej ich pielęgnacji, polegającej na obfitem ich podlewaniu, zraszaniu i wynoszeniu na noc na chłód, możemy je przez miesiąc przetrzymać w pełnej krasie.

Do sadzenia kłączy konwajowych lepiej nie używać doniczek, ale płaskich i szerokich miseczek

JEDWABISTĄ, MATOWĄ

CERĘ



zachowa Pani, stosując płyn SIMI, który nadaje cerze świeżość i wrobia młodość, usuwa wagi, przysusza i zmarszczki oraz odświeża skórę.

glinianych, lub nawet szklanych albo płaskich niewielkich skrzyneczek, dobrze się do tego celu dadzą użytkować stare pudełka po cygarach.

Idzie tu o to, aby do danego naczynia można było zmieścić sporą ilość kłączy, konwalje bowiem najładniej wyglądają w masie. Sadzić należy grupami, najmniej po 10 sztuk kłączy.

Kłącze, użyte do pędzenia, muszą być krępe, silne z dobrze wykształconymi oczkami, powinny mieć około 10 cm. Najlepszym materiałem do sadzenia konwalji będzie czysto wymyty rzeczny piasek i mech.

Kłącza sadzimy tak głęboko, żeby ponad ziemią wystawała tylko połowa pączka. Sadzić należy możliwie ściśle. Na wierzch nakładamy przynajmniej na 8 cm. grubą warstwę mchu, który poprzednio został namoczony i z wody wyciśnięty. Posadzone kłącza stawiamy w ciemnym, ale ciepłym miejscu. W pierwszym stadium rozwoju konwalje potrzebują temperatury przynajmniej 30° C. Codzień podlewamy je obficie letnią wodą, pamiętając, że jednorazowe zasuszenie niweczy nadzieje na otrzymanie kwiatów.

Doniczki, czy miseczki powinny stać na podstawkach i podlewać je zawsze tak silnie, aby woda aż na podstawkę przeciekła, gdyż tylko wtedy jesteśmy pewni, że cała domieszka została zwilżona. Skutkiem grubej warstwy mchu, w którą wiele wody wsiąka, łatwo się może zdarzyć, że zwilżamy tylko górne partje, a dolne, w których się rozwijają korzenie i które najwięcej wody potrzebują, pozostaną suche. Wodę z podstawek należy zawsze zlewać.

Gdy pąki na tyle podrosną, że zaczynają się wychylać ponad mech, przenosimy konwalje na bardzo słoneczne okno. Oczywiście do światła i podwyższonej temperatury

należy rośliny przyzwyczajać stopniowo. Jednocześnie również stopniowo usuwamy warstwę mchu. Na słonecznym, najlepiej południowym oknie trzymamy konwalje aż do ukazania się kwiatów. Wody dostarczamy im ciągle w sporych dawkach, używając do tego celu wody o pokojowej temperaturze.

Czas potrzebny do wyprowadzenia kwiatów wynosi 2—4 tygodni, im bliżej wiosny ten okres ten się skraca.

Na zakończenie zaznaczyć muszę, iż do pędzenia nadają się tylko silne, przynajmniej trzyletnie kłącza. Aby mieć zapas ich wciągu zimy do pędzenia, wybieramy jesienią silne grube kłącza i dołujemy je w skrzynkach z piaskiem i umieszczamy w zimnej komorze, sionce lub gdzieś na schodach, gdzie średnia temperatura trzyma się co najmniej poniżej zera.

Po przekwitnieniu nie przedstawiają rośliny najmniejszej wartości i dalsza ich hodowla nie warta zaledu, bo są zbyt wysilone.

Marja Dąbrowa.

ODPOWIEDZI DZIAŁU OGRODNICZO-HODOWL.

P. E. Gąsowska.

Bezpośrednie zwalczanie rdzy na różach polega na opryskiwaniu ich cieczą bordoską. Używa się dwuprocentowego roztworu na wiosnę, nim jeszcze rozwiną się pączki. Gdy zaś krzaki są w pełnym ulistwieniu—jednoprocentową. Silnie opadnięte liście należy obrywać i palić. Jesienią należy wogóle wszystkie opadłe liście zgrabić, pozostałe na krzakach oberwać i spalić.

Jednocześnie należy różę otoczyć staranną opieką, aby rosła zdrowo i temsamem były odporne na choroby. Różę powinny być sadzone w miejscach słonecznych. W czasie suszy pilnie podlewać.

Ograniczyć nawozy naturalne, a stosować sztuczne, przede wszystkim: potasowe i fosforowe, a mniej azotowych.

ODPOWIEDZI OD REDAKCJI

Kalinie z Polesia.

Wykłady w Wyższej Szkole Dziennikarskiej w Warszawie, rozpoczynają się 5-go października. Warunki przyjęcia, czesne, oraz szczegółowy program wykładów, znajduje Sz. Pani w broszurze p. t. „Wyższa Szkoła Dziennikarska w Warszawie“, program na 1934/35 r., wydanej nakładem Towarzystwa Wyższej Szkoły Dziennikarskiej w Warszawie.

Jeszcze raz przypominamy naszym łaskawym Czytelniczkom i Korespondentkom, że rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Zwrót jest możliwy tylko wtedy, gdy do rękopisu dołączane są znaczki pocztowe na przesyłkę i odpowiedź.

Dom i gospodarstwo

SZTUKA KUPOWANIA

Umiejętność kupowania jest sztuką, którą posiadać powinna przede wszystkim kobieta.

Przez jej ręce płynie wartkim strumieniem pieniądź, zaspakajający potrzeby dnia codziennego, ona jest odpowiedzialną za poziom życia rodziny, od niej ma się prawo żądać, aby wymiana pieniądza na artykuły pierwszej potrzeby odbywała się w sposób nie tylko oszczędny ilościowo, ale i jakościowo.

„Umiejętność kupna” to rodzaj szóstego zmysłu, który albo przynosi się ze sobą na świat, albo nabywa drogą praktyki.

Szkołąc w sobie, lub udoskonalając tę cenną właściwość, trzeba jednak orjentować się należycie, na czym ona polega. Bo zgoła wadliwym będzie przeświadczenie, że „umieć kupić” to znaczy kupować tanio, taniej, niż wszystkie nasze znajome i sąsiadki, które pragniemy zdystansować.

Tego rodzaju ambicja prowadzi na bezdroża, bo punkt ciężkości *dobrego kupna* nie leży przecież tylko w cenie o 5, czy 10 groszy niższej na kilogramie, a dużo bardziej w jakości nabywanego towaru.

Zresztą rewelacyjnie niskie ceny rzadko kiedy są wolne od przykrych niespodzianek. Albo jakość towaru, albo niedokładna waga, czy miara usprawiedliwiają zwykle ten pozorny, a zdradliwy uśmiech losu.

Każda z nas, poczuwająca się do obowiązku umiejętnego robienia zakupów i rozumiejąca swój własny interes, musi znać się na tem, *co kupuje*. Inaczej będzie stale ofiarą niesumiennych sprzedawców, którzy muszą przecież brać w jakiś sposób odwet za tych konsumentów, czego żądać należy.

Tutaj niejednokrotnie przeszkadza nam delikatność, cenna w życiu wogóle, ale zupełnie nie na miejscu w danym wypadku.

Na to jednak, aby w sposób zdecydowany, grzeczny, ale stanowczy przeciwstawić się wyyskowi, trzeba znać się na jakości towaru, orjentować w cenach rynkowych i przede wszystkim mieć zgóry określone i zdecydowane żądania.

Wchodząc do sklepu, czy też udając się na targ, nie wolno zaprzętać czasu osobom sprzedającym swoim wahaniem, nie pora na zastanawianie się, czego brak w domu, co by się właściwie przydało, a już fatalnym zwyczajem jest kilkakrotne zamknięcie listy żądań i otwieranie jej na nowo. Dezorientuje to w przykry sposób sprzedawców, wypro-

Własny dom z ogrodem

na długoletnie RATY



otrzymasz w podstożecznej kolonii

„BRZozowa”

położonej na linii kolejowej łącznicowej, pomiędzy Zielonką a Rembertowem. Idealne warunki klimatyczne w rezerwacie lasów iglastych. Solidne i terminowe wykończenie. Dojazd do centrum miasta 20 minut. Pożyczka B. G. Krajowego zapewniona.

Zamiast płacić wieczne komorne przy niewielkiej stosunkowo jednorazowej wpłacie, miesięcznym komornem spłacisz w ciągu kilku lat swój własny dom.

Parcele bez domów od 50 gr. za łok.²

Bezpłatnych informacji udziela i zapisy przyjmuje:

1-wo „BRZozowa” ul. Matejki 7, telefon 9-18-88.

wadza ich z cierpliwości i naraża na poważny uszczerbek, wymagana od nich, bezapelacyjnie uprzejmą postawę wobec klienta.

Chwiejność przy robieniu zakupów jest cechą wielu kobiet i tej wyzbyć się należy, tem więcej, że godzi ona najczęściej bardzo dotkliwie w naszą własną kieszeń.

Jeżeli udajemy się po zakupy bez ustalonego preliminarza, najczęściej po powrocie do domu zauważymy, że wydałyśmy więcej pieniędzy, niż przeznaczone, a nie załatwiłyśmy najkonieczniejszych sprawunków.

Jedną z cech, którą powinna posiadać osoba, wyszkolona w kupnie, jest opanowana wyobraźnia.

Niestety! Mając budżet ograniczony, musimy opancerzyć się silną wolą, w wielu wypadkach stać się niedostępne dla wrażeń wzrokowych i powonieniowych, *umieć nie przekroczyć zakreślonej granicy* naszych możliwości materialnych, nawet tam gdzie chodzi o *dogodzenie* komuś bardzo drogiemu.

Przy samym załatwianiu sprawunków, jeżeli kupujemy w jednym sklepie (dajmy na to kolonialnym) szereg rzeczy, trzeba się kierować jakimś logicznym planem. A zatem najpierw wymienić wszystkie towary syplikie: więc cukier, mąkę, kaszę, herbatę i t. p. towary, później dopiero przejść do wędlin, serów, owoców, konserw. Chaotyczne wypowiadanie żądań, przerzucanie sprzedawców z jednego krańca sklepu na drugi, zmuszanie ich do

parokrotnego powracania w jedno i to samo miejsce jest dowodem, że nie umiemy cenić własnego i cudzego czasu, a co gorsze, nie uważamy za stosowne liczyć się z cudzym wysiłkiem.

Ale to są tylko *psychologiczne* strony zagadnienia, a tem samem, nie wyczerpują go całkowicie.

Jeżeli nawet posiadziemy umiejętność kupna *kulturalnego*, to znaczy będziemy zwięzłe, zdecydowane i nieodzownie grzeczne, pozostaje jeszcze bardzo ważna strona: kupowanie w sposób umiejętny rzeczy prawdziwie wartościowych.

Trzeba się umieć poznać na gatunku i rodzaju mięsa; orjentować w świeżości masła z wyglądu i zapachu; znać cechy młodego i starego drobiu, lub zwierzyny; rozróżniać gatunki owoców; mieć wyrobione zdanie o wartości marek fabrycznych i t. d., nie dać się powodować cudzemu zdaniu, mieć własne ustalone na realnych podstawach.

Zresztą towaroznawstwo, nie tylko tam, gdzie wchodzi w grę produkty spożywcze, musi być wcielone do całokształtu wykształcenia kobiecego. Jeżeli nie wniosłyśmy go w życie na podstawie wiadomości praktycznych nabytych w domu, czy w szkołach, musimy go sobie przyswoić, inaczej będziemy wiecznie płaciły za brak tej podstawowej cechy wykształcenia gospodarskiego, a przecież tak mało mamy środków, że trwonić ich w nieodłączny sposób, nie wolno.

W sferę umiejętności kupowania należy włączyć jeszcze *dar skupiania uwagi*. Niestety w naszych stosunkach w wielu wypadkach trzeba dosłownie *patrzyć* sprzedawcom *na ręce*. Ta konieczność wyłania się szczególnie przy robieniu zakupów w halach targowych, skąd osoba *nieurważna* przynosi czasem, ku wielkiemu swojemu rozczarowaniu, produkty zepsute, nic nie warte, bo króluje tam zwyczaj dorzucania do napełnianej torby towaru zepsutego, ukrytego zrećnie pod towarem pierwszorzędnym, przypadającym w udziale tym, którzy umieją dopilnować rąk, jakie ich obsługują.

I jeszcze jedna zasada: mieć stałych dostawców, nie przerzucać się ze sklepu do sklepu, kontrolować służącą co do źródeł zakupów, odwiedzać swoich dostawców samej, umieć ich zobowiązać uprzejmością, okazywać im zaufanie, ale równocześnie dać im poznać naszą siłę, która polegać musi na wszechstronnej znajomości rzeczy i sumiennej wypłacalności.

Wanda Dobrzańska.

Przepisy gospodarskie

Wędliny.

Półgęski. Na półgęski trzeba wybierać sztuki młode, dobrze wypasione (mięsiste) ale nie tuczone na smalec. Po zabiciu gęsi i oskubaniu, oraz sprawieniu ich trzeba je powiesić w chłodzie na przeciąg doby, aby tłuszcz stężał.

Po upływie tego czasu zdjęć piersi z kości razem ze skórą. Przygotować, na 10 półgęsków mieszaninę z: 30 dkg. soli, 2 dkg. saletry sproszkowanej, 2 dkg. rozartego na proszek majeranku, łyżeczki cukru i tą mieszaniną nacierać silnie półgęski ze wszystkich stron. Tak przygotowane ułożyć w dużym kamiennym garnku, albo małej faszeczce dębowej, przykryć denkiem i przycisnąć kamieniem. Po dwóch dniach zagotować 2 litry wody z 10 dkg. soli, wystudzić. Półgęski przesypać grubo potłuczonymi ziołami: holendrem, zielem angielskim, listkami bobkowymi; zalać wystudzoną ropą, znów przykryć denkiem, przycisnąć kamieniem i postawić w chłodzie na 8 do 10 dni. Po wyjęciu z sosu i osączeniu, zwinąć zręcznie, zaszyć skórę, zawiązać każdy półgęsek szczelnie w biały papier, zawiesić w ciepłym (nie gorącym) dymie na 3 do 4 dni. Przechowywać zawieszony w przewiewnym chłodzie.

Pałki gęsie w galarecie. Wprawdzie pałki gęsie w galarecie trudno zaliczyć do wędlin, jednakże mówiąc o półgęskach, przyrządzanych z większej ilości sztuk naraz, pożytecznym będzie wskazanie, jak użytkować pozostałe pałki, czyli udka.

Starannie oczyszczone i wymyte udka gęsie ułożyć w rondlu, dodać 3 nóżki cielęce, zalać smakiem, przyrządzonym na podstawie 3/4 części wody i 1/4 części dobrego octu winnego. Smaku dać tyle, aby przykrył ułki i nóżki, dodać: cebuli, włoszczyzny, parę listków bobkowych, kilka ziarn ziela angielskiego. Gotować na wolnym ogniu, dopóki udka nie zmiękną całkowicie, trzeba jednak uważać, aby się nie przegotowały i nie odstały od kości. Przed wyjęciem udek ze smaku dolać trochę mocnego octu, co spowoduje spłynięcie tłuszczu na wierzch. Po wyjęciu udek z rosółu ułożyć je w kamiennym garnku polewanym. Smak wystudzić, zebrać z wierzchu tłuszcz, zalać ostrożnie z osadu, jaki się na spodzie wytworzył, jeszcze raz zagotować, klarując surowymi białkami rozbitymi z zimną wodą z dodaniem skorupki od dwóch jajek. Klaruje się, wlewając białka z wodą i wzucając skorupki do smaku, który trzeba z temi „dodatkami“ zagotować raz jeden, poczem odstawić na pół godziny, aby się ustąpił. Zalać ułożone w garnku udka smakiem, cedząc go przez serwetę, a gdy galareta zastygnie, pokryć ją powierzchnią warstwą tłuszczu, pod którym lepiej się konserwuje. Przechowywać w chłodzie; podając, zebrać tłuszcz z wierzchu, ułożyć udka zręcznie na półmisku, przybrać ćwiartkami cytryny, rydzami, lub grzybkami marynowanymi, świeżą natką od pietruszki, listkami sałaty. Oddzielnie podać ocet i oliwę.

Serdelki wieprzowe napręde. Zdjąć mięso z łopatki wieprzowej, dodać 1/3 połędwicy, doskonale wyżyłować. Kości i żyłki, jakie pozostaną po żyłowaniu, wstawić na smak dodając włoszczyzny i cebulki. Smak ugotować mocny, esencjonalny. Gdy smak już gotów, przepuścić mięso kilkakrotnie przez maszynkę od mięsa o bardzo ostrych nożach i gęstem sitku. Wyłożyć posiekane mięso na misce kamienną, doprawić do smaku: solą, pieprzem i zielem angielskim, wymieszać; sparzyć niewielką ilością gorącego smaku, normując go tak, aby mięso nie zrobiło się zbyt rzadkie. Tą masą

nadziać cienką kiszkę, poprzewiazywać ją cienkim sznureczkiem lnianym w takich odstępach, jak duże chcemy mieć serdelki. Zawiesić w wędzarni, albo poprostu w beczce bez dna nad małym ogniem, żeby kiszka powierzchni przeschnęła. Po obsuszeniu, zasypać ogień wilgotnymi trocinami, które spowodują wydzielanie się gorącego dymu. Proces wędzenia powinien trwać od 30 do 40 minut, w czasie których serdelki nabiorą odpowiedniego koloru. Na zakończenie trzeba puścić znów płomień, aby dopiec serdelki. Po dopieczeniu natychmiast wyjąć z wędzarni, inaczej stracą kolor i wysuszą się.

Kielbasa z piersi i udek gęsi. Proporcja: piersi z jednej gęsi, 2 udka gęsie, łyżka stołowa soli, saletry grudkę wielkości orzecha laskowego, żdźbło czosnku, 12 ziarn białego pieprzu, 10 ziarn ziela angielskiego, tłuszcz spod zdjętych skórek z gęsi.

Wyżyłować mięso zdjęte z piersi i pałek, pokrajać na niewielkie kawałki, tłuszcz zdjęty ze spodów skór drobno posiekać, ziola utłuc miałko, wszystko to razem doskonale wyrobić, nadziać gęsiną zwykłą kielbaśnicę, wędzić 24 godziny.

Wyborna kiszka paszтетoma (wątróbiana). Proporcja: 2 klg. wątróbki wieprzowej, 4 klg. tłuszczu z boczków, 1 niedużą cebulę cukrową, pieprzu białego, soli Kiszki wieprzowe, tak zwane krzyżówki.

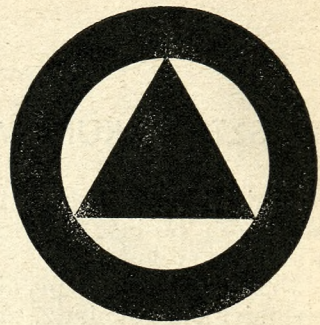
Wątróbę wyżyłować jak najstaranniej, obciągając przedtem z wierzchniej błony. Pokrajać na niezbyt szerokie paski, ułożyć na misce, zalać wrzącą wodą, trzymać w niej 10 minut, żeby zbiełała. Tłuszcz z boczków przepuścić dwukrotnie przez maszynkę, oddzielnie zemleć na maszynce wątróbkę, przefasować ją przez sito, wyrobić z solą, pod wpływem której wątróba puszcza klej. Usiekać drobno, zmiażdżyć sparzoną wrzątkiem cebulę, zemleć parę ziarenek pieprzu i parę ziarenek ziela angielskiego. Wymieszać to wszystko razem, wyrobić łyżką drewnianą, a lepiej nawet rękami.

Kiszki białe wieprzowe, tak zwane

DO ROBOT RĘCZNYCH



WŁOČZKI I WEŁNY „TROJKAT w KOLE”



krzyżówki bardzo starannie wyczyszczone i wymoczone w kilkakrotnie zmienianej zimnej wodzie, osączyć z wody, nadziać dosyć luźno przygotowaną masą, pozwiązywać na końcach sznureczkiem, albo też „zaszyć” specjalnie przystriganymi patyczkami z bezwonnego drzewa, zbierając kiszkę na patyczek tak, jakby się szło okrętką.

W dużym płaskim rozłożystym rondlu zagotować wodę, zmniejszyć ogień, tak, żeby nie wrzała, włożyć kiszki, nakryć rondel przykrywą, utrzymywać wodę w temperaturze 90 st. C., to znaczy „na zagotowaniu”. Kiszki powinny nagrzewać się w ten sposób godzinę. Po wyjęciu z wody włożyć na jakieś pół godziny w obfitą zimną wodę, a wtedy prędko zastygną i zbieleją.

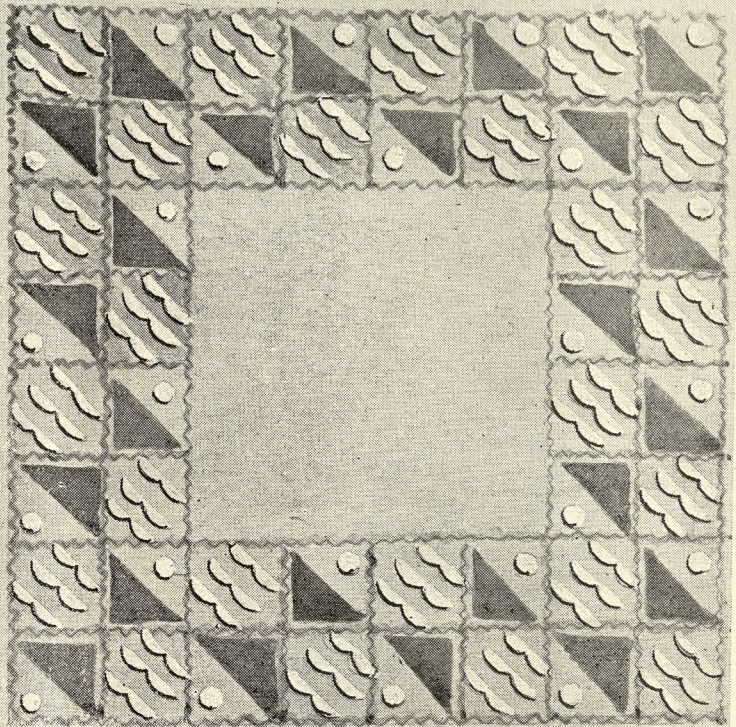
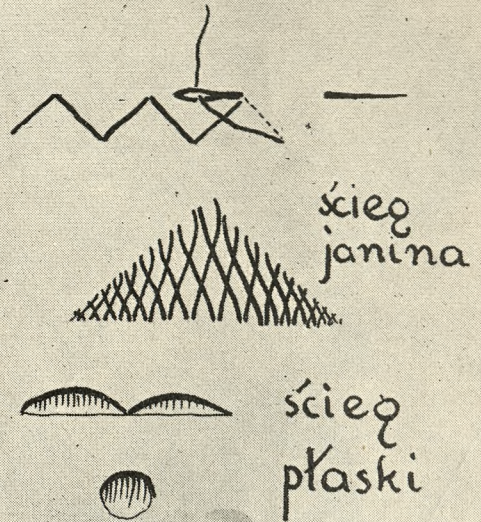
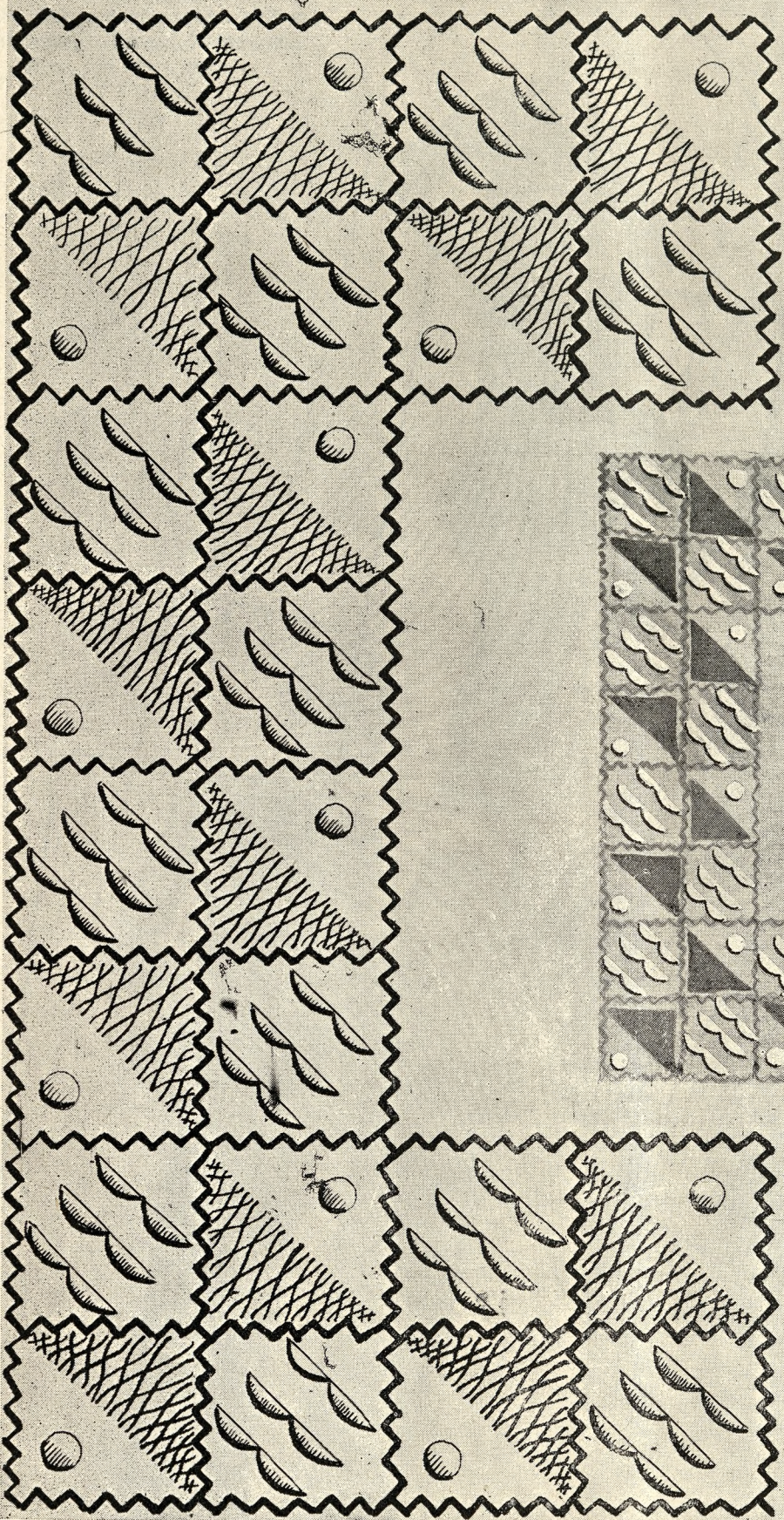
Kiszki trzeba napełniać dosyć luźno, żeby nie popekały, pęczniejąc w gotowaniu. Gdyby się okazały (po ugotowaniu) zbyt luźno napełnione trzeba je delikatnie dognieść i dalej związać. Robić to dopóki jeszcze całkowicie nie zastygną.

Kielbasa do gotowania, tak zwana biała. Proporcja: 4 kg. chudego mięsa wieprzowego, 2 kg. tłuszczu wieprzowego, soli do smaku, 1 dkg. majeranku rozartego, 1 dkg. pieprzu białego, 1/2 dkg. ziela angielskiego.

Pokrajać mięso i tłuszcz w niewielkie kawałki, dodać przyprawę, doskonale razem wymieszać. Ugotować mocny, esencjonalny smak na kościach wieprzowych, odpadkach pozostałych po żyłowaniu mięsa, dodając cebuli, włoszczyzny i trochę korzeni. Smak przecedzić, wlać do mięsa przygotowanego na kielbasy pół litra wrzącego smaku, wymieszać razem. Napełniać luźno kielbaśnicę wieprzową, pozwiązywać z obydwóch końców, zawiesić kielbasy na kiju i umieścić je w przewiewnym chłodzie, żeby obeschły powierzchniu. Jeżeli mają być czas dłuższy przechowane, trzeba je bardzo lekko obwędzić.

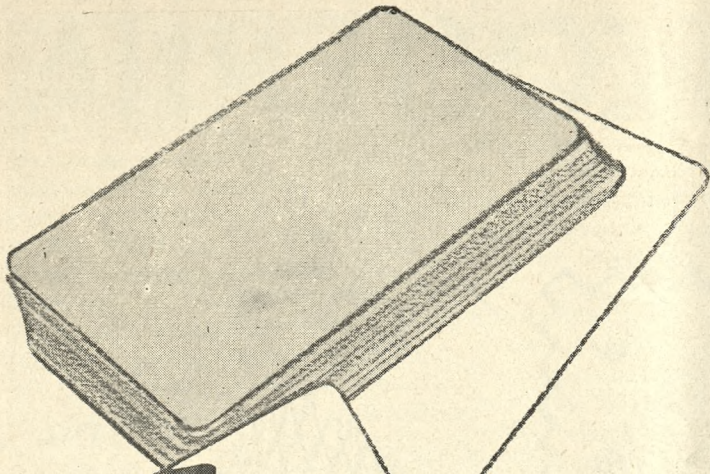
Kielbasę taką można podawać gotowaną, albo pieczoną. Gotuje się kładąc do wrzącej wody i trzymając około dwudziestu minut na wolnym ogniu. *Melba.*

SERWETKA PŁOCIENNA



RYS.1. SERWETKA
W ZMNIEJSZENIU

RYS.2. POKŁOWA
WIELKOSCI
NATURALNEJ



135 B. Suknia z reglanowemi rękawami.

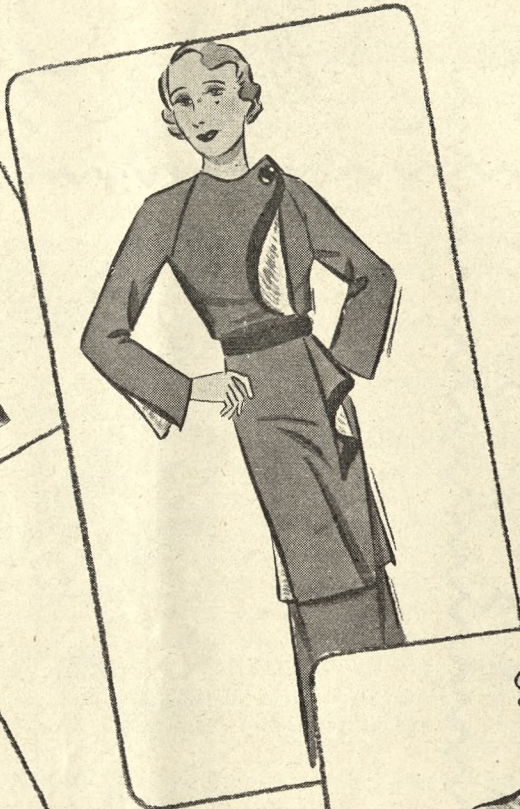
136 B. Suknia z wełny w dwóch kolorach, lub dwóch odcieniach.

137 B. Suknia z wełny, przybrana jedwabiem.

138 B. Suknia jedwabna, kołnierz z lamy lub błyszczącego jedwabiu.



135 B.



137 B.



136 B.



138 B.



139 B. Suknia z czarnego jedwabiu,
zamiast kołnierza rząd kwiatów.

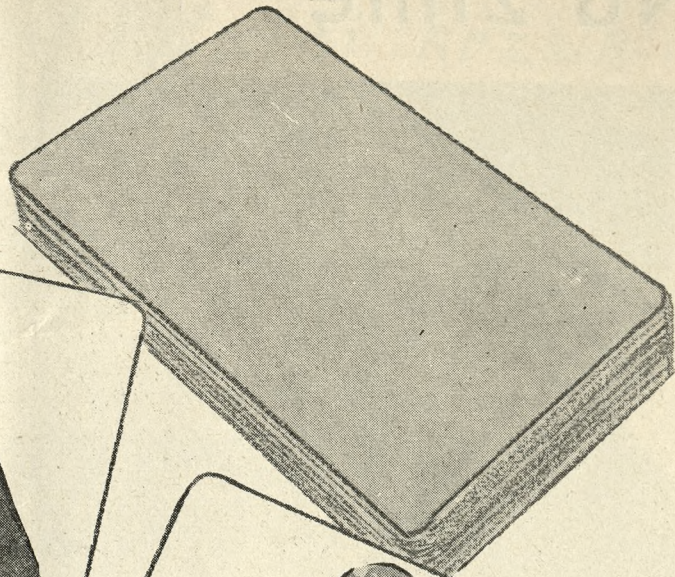
140 B. Suknia z wełny ciemno - bron-
zowej.

141 B. Suknia jasno - popielata, przy-
brana aksamitem do cieniu.

142 B. Suknia z krepy przerabianej
metalem, wykończona na bokach i
przy szyi riuszkami.



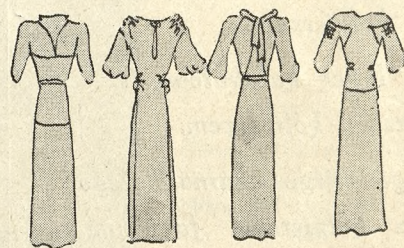
139 B.



140 B.



141 B.



142 B.

Na zimę

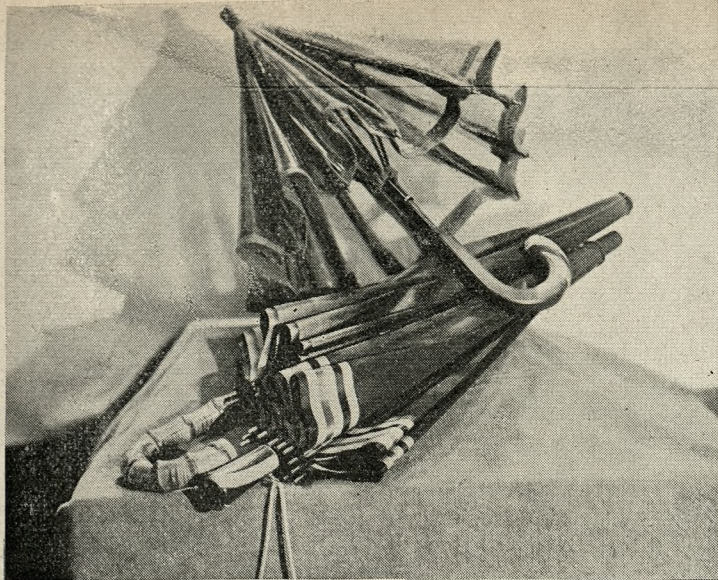


Palto karakulowe z fantazyjnym kołnierzem.

Palto z łapek karakulowych z dużym kołnierzem.

Palto z angielskiego czarno-białego materiału z kołnierzem fokowym.



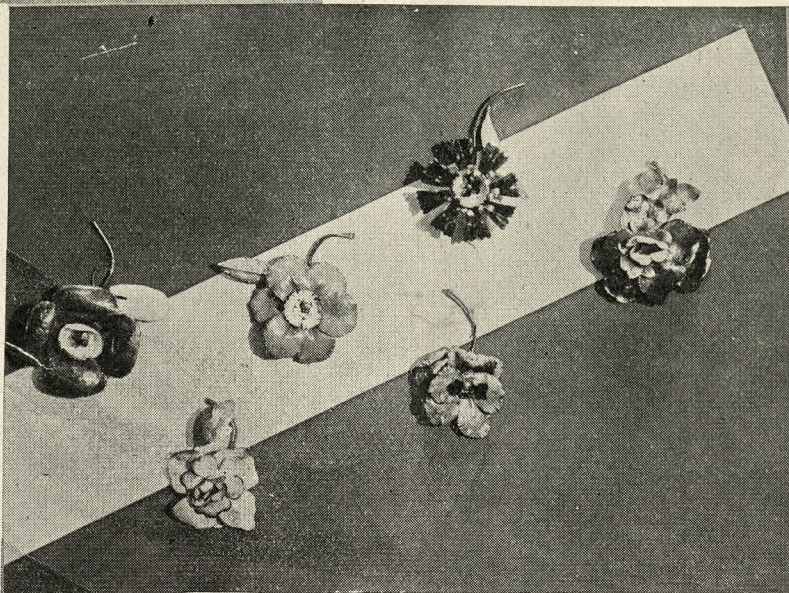


Ostatni krzyk

Są tacy co na modę narzekają, są, którzy jej się dziwią, albo potępiają, że nie liczy się ani z wygodą, ani z celowością, ani z kieszenią, ani... ach, wogóle z niczem. Nazywają ją kapryśną i nielogiczną, a jednakże niema takich, którzyby tej kapryśnicy nie służyli. I to nie służyli wiernie. Czemu się to dzieje?

Dlaczego? Bo ta grymaśna, tyranizująca nas pani, ma jednak swoje zalety. Przedewszystkiem posiada wdzięk, któremu się tak wiele wybacza, wnosi w życie rozmaitość, ujmuje miłą kokieterją. Jest w niej sporo

Oto nowomodne parasolki z brzegami objętymi celophanem, małe, lekkie i oryginalne!

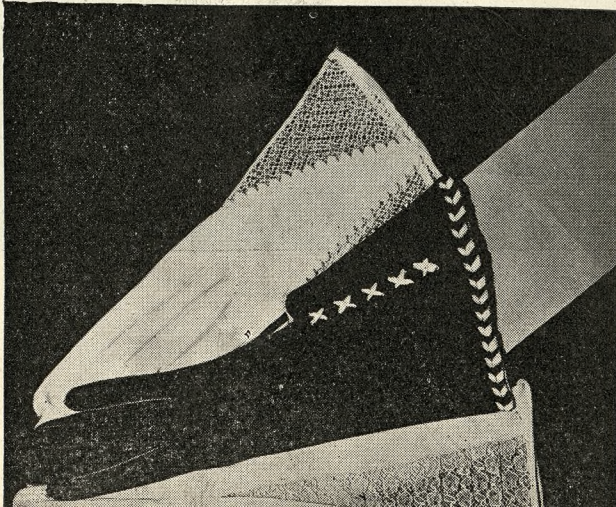


Bratek, blawatek, róża czy gardenja będą w tym roku zrobione ze skórki i zamszu.

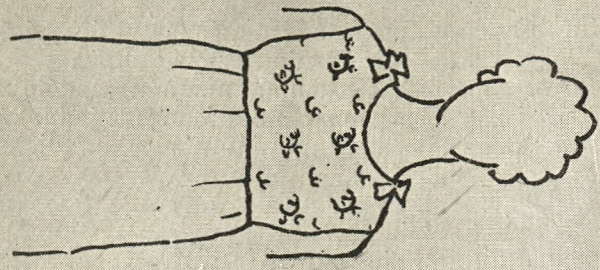


„urody życia“ poprzez urodę kobiecą. „Krzyk mody“ jest krzykiem wesołym, czasem trochę bojowym, zawsze interesującym. Taką interesującą nowością tegoroczną będą niewątpliwie damskie, niewielkie parasolki, o krótkich rączkach, których brzegi oryginalnie ozdobiono paskami z lśniącego celophanu. Ten efektowny kaprys mody znajdzie napewno liczne zwolenniczki. Noszone będą również do kostjumów i palt jesiennych szykowne butonierki ze skórki gładkiej i lakierowanej. Śliczny jest np. ten bratek, którego górne płatki zrobione są z czarnego lakieru, dolne zaś z białego zamszu. Co się tyczy uczesania, też znajdziemy coś nowego: — odrastające coraz bujniej loki, domagają się upięcia. Ślicznie wygląda uczesanie, gdzie cały tył głowy pokrywają pukle, odsłaniając wdzięcznie szyję, a szykowną nowość i ozdobę stanowi elegancki grzebień, wpięty zgóry i przytrzymujący loki. Rękawiczki uległy naogół małej zmianie; nosić je będziemy, jak w lecie z dużym mankietem, szukając urozmaicenia nie tyle w fasonie, ile w sposobie ozdobienia. Do strojnego ubrania bardzo ładnie wyglądają wstawione w mankiety motywy koronkowe, niekiedy cały mankiet może być z koronki, oczywiście nieco grubszej. Do cięższych okryć doskonale wygląda haft z włóczki, aplikacja z aksamitu, sukna lub zamszu, a wreszcie wytłaczanie na skórze. Nawet mniej modne okrycie, ożywione ładną butonierką i parą eleganckich rękawiczek, będzie wyglądało szykownie.

Grzebień wracają do mody — niejedna z nas znajdzie je w darowych, zapomnianych zapasach i będzie mogła tak pięknie podpiąć loki.



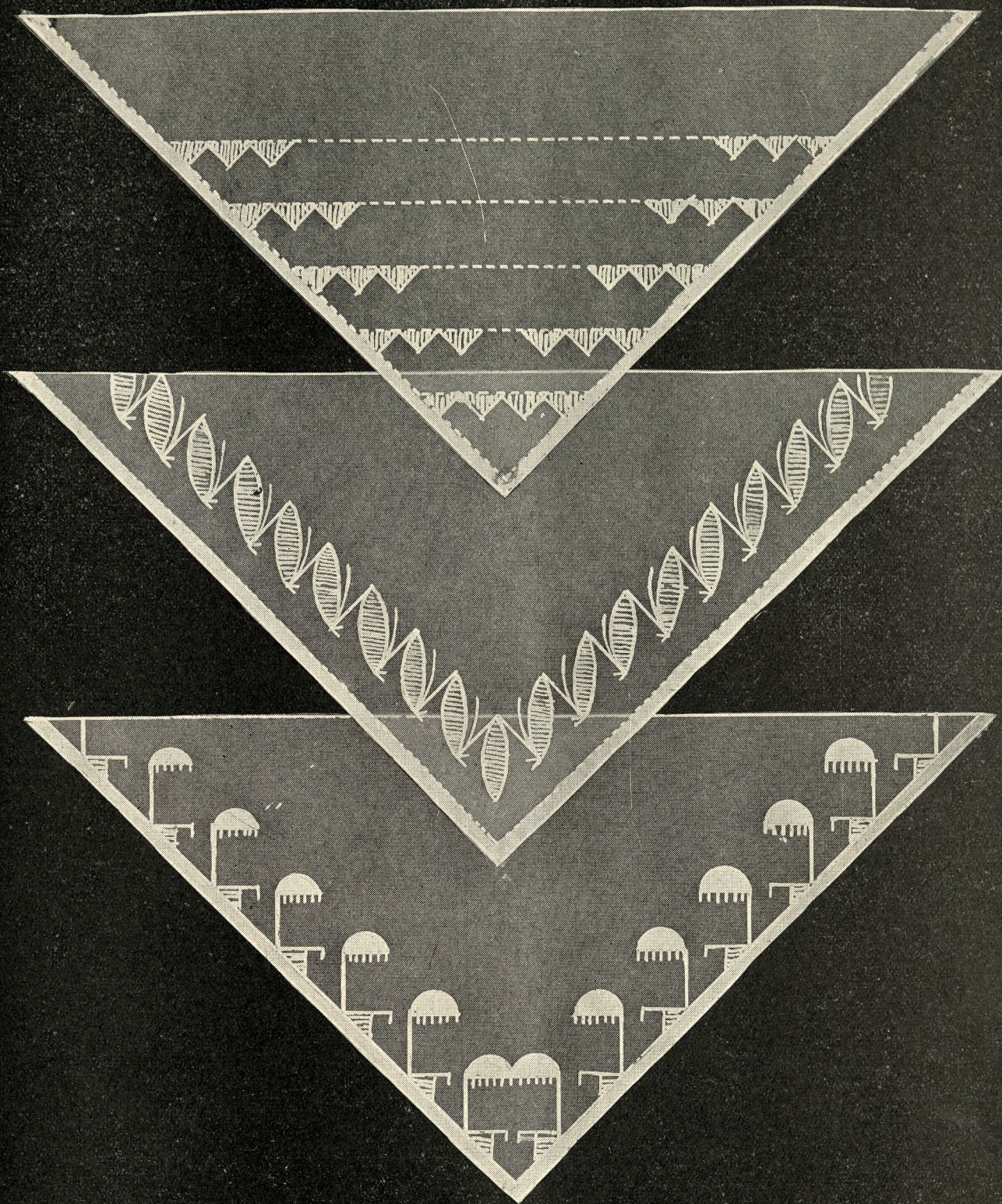
Mankiet rękawiczki można rozszyć koronką, gipiurą lub ozdobić haftem.



h o s z u l a n o c n a

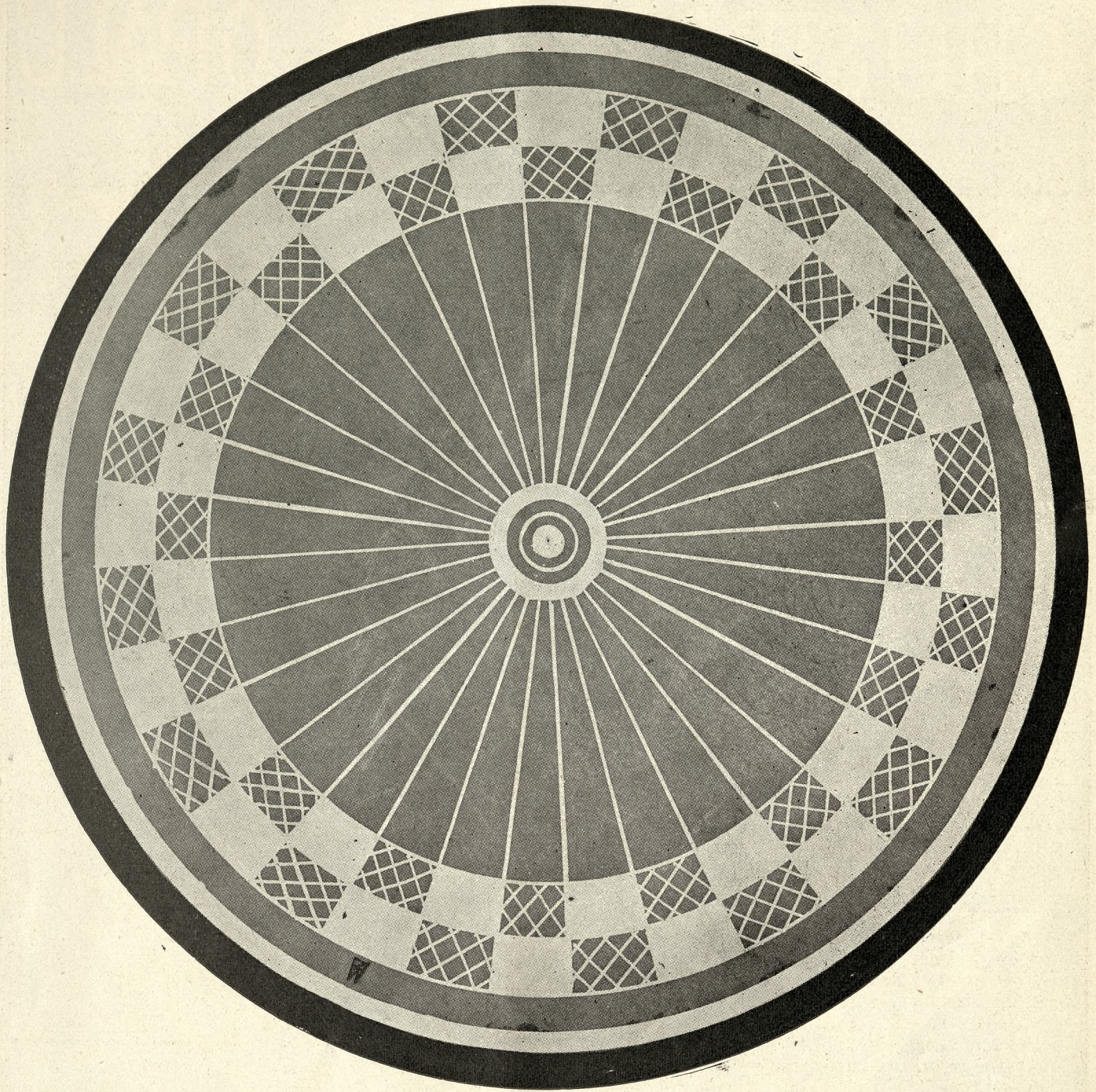


CHUSTECZKI NA OPALU



H.Z.

Okrągła serwetka z opalu



Ściegi: sznureczek i Janina od spodu.

Książka daje naj-
prawdziwszy obraz
życia. Chcesz poz-
nać życie, walki,
wzloty i upadki
duchowe współ-
czesnej młodzieży
p r z e c z y t a j

ZA BIAŁĄ ŚCIANĄ

J. KORCZAKOWSKIEJ

WYDAWCA:

Tow. Wyd. „Bluszczy”

Cena 1 zł. 20 gr.

Do nabycia
w Tow. Wydaw.
„B L U S Z C Z Y”
Solec 87 i Świę-
tokrzyska 17 m. 3
oraz we wszystkich
księgarniach
Konto P.K.O. 12.200.

KONKURS RADY ORGANIZACYJNEJ POLAKÓW Z ZAGRANICY NA SZTUKĘ LUB WIDOWISKO TEATRALNE.

Konstatując poważne braki w dziedzinie popularnych sztuk i widowisk teatralnych o wysokim poziomie artystycznym z jednoczesnym przystosowaniem ich do potrzeb kulturalnych Polonji zagranicznej: Rada Organizacyjna Polaków z Zagranicy rozpisuje konkurs na:

1. Sztukę lub widowisko teatralne dla dzieci w wieku szkolnym,
2. Sztukę lub widowisko teatralne dla starszej młodzieży.

Uwagi ogólne.

Zarówno sztuki lub widowiska jednolite, jak i składane, winny mieć charakter wybitnie polski, propagandowy, ze szczególnym uwzględnieniem moralnych i materialnych zdobyczy ostatnich lat, z wyłączeniem pesymistycznych nastrojów niewoli.

Tematy dowolne, najbardziej jednak pożądanymi są utwory, nadające się do:

1) obchodów rocznic historycznych (np. odzyskania niepodległości, Konstytucji 3-go Maja);

2) uczczenia wielkich Polaków, zarówno nieżyjących, jak i żyjących (np. Kościuszko, Marszałek Piłsudski);

3) uświetnienia tradycyjnych obrzędów (np. gwiazdka, zapusty, dożynki, wianki),

4) przywienienia uroczystości organizacyjnych: przysposobienia wojskowego, wychowania fizycznego, harcerstwa, Strzelca, Sokoła, Junaka, kółka śpiewaczego, straży pożarnej i innych organizacji, czynnych wśród Polaków zagranicą;

5) podniesienia wagi uroczystości okolicznościowych (np. założenia kamienia węgielnego pod nową polską placówkę na obczyźnie: szkołę, schronisko, ochronkę, bursę, dom ludowy, świetlicę, bibliotekę lub klub; otwarcia boiska sportowego, zakończenia roku szkolnego i t. d.);

6) urozmańczenia zabawy (np. karnawałowej, wycieczki, imienin, zarczyn, wesela).

Utwory sceniczne mogą być przeznaczone do odgrywania przez młodzież lub dzieci dla ludności osiedla rolniczego, osady fabrycznej lub wielkiego miasta. Akcja może się rozgrywać zarówno w Polsce i nosić charakter regionalny, jak i w poszczególnych znanych autorowi ośrodkach Polonji zagranicznej.

Tendencją utworu winno być pobudzenie uczuć patriotycznych Polaków zagranicą, zwrócenie ich uwagi na rozwój i wzrastające znaczenie Polski na całym świecie, zachęta do utrzymania stałego kontaktu z Macierzą, propagowania jej największych wartości, zarówno moralnych, jak i materialnych, wśród obcych, oraz to wszystko, co może się stać podstawą do rozbudzenia w duszy Polaka zagranicą poczucia narodowego, głębokiej wiary we własne siły i wielką przyszłość Narodu.

Widowisko teatralne odbywać się może zarówno na scenie zamkniętej (z uwzględnieniem najprymitywniejszych warunków inscenizacji), jak i na otwartej przestrzeni.

W jednolitych utworach scenicznych pożądana jest proza z ewent. zastosowaniem wierszy i piosenek, widowiska składane,

np. rewje, mogą być ujęte w formę dowolną.

Warunki konkursu.

1. Sztuka konkursowa winna być oryginalna, nigdzie dotąd nie drukowana.

2. Obowiązuje maszynopis jednostronny.

3. Sztukę należy podpisać godłem (bez podania nazwiska autora). Imię, nazwisko i dokładny adres autora należy przesłać równocześnie z tekstem w osobnej, zaklejonej kopercie, na której należy podać jedynie godło, jakim sztuka została podpisana.

4. Adres dla przesyłek, przeznaczonych na konkurs.

5. Ostateczny termin nadsyłania sztuk teatralnych: 1 stycznia 1955 roku.

6. Ogłoszenie wyników konkursu w prasie polskiej w kraju i zagranicą nastąpi w dniu 1 lutego 1955 roku.

7. Nagrody:

I nagroda zł. 2.000.

II „ „ 1.500.

III „ „ 1.000.

8. Rada Organizacyjna Polaków z Zagranicy zastrzega sobie prawo nieograniczonej ilości wydań każdej z nagrodzonych sztuk teatralnych bez dodatkowego wynagrodzenia, oraz prawo indywidualnych pertraktacji z autorami prac nienagrodzonych w sprawie ewent. kupienia tych prac.

Skład Sądu Konkursowego.

Marja Dąbrowska, Wanda Borudzka, Wiktor Tomir Drymmer — dyrektor Departamentu Konsularnego Min. Spraw Zagranicznych, Władysław Zawistowski — naczelnik Wydziału Sztuki Min. Wyznań Rel. i Oświecenia Publ., Dr. Apoloniusz Zarzycha — naczelnik Wydziału Min. Spraw Zagranicznych, Płk. Tadeusz Różycki — szef Wojskowego Instytutu Naukowo-Wydawniczego, Mjr. Karol Krzewski — przewodniczący Głównej Rady Programowej Polskiego Radja, Ferdynand Goetel, Ryszard Ordyński, Wiktor Ambroziewicz — prezes Komitetu Wychowania Narodowego Młodzieży Polskiej z Zagranicy, Jerzy Zawiejski — kierownik artystyczny Instytutu Teatrów Ludowych, Stefan Lenartowicz — sekretarz gen. Rady Organizacyjnej Polaków z Zagranicy, Mamert Miż-Miszyn — kierownik referatu kulturalno-oświatowego w Radzie Org. Pol. z Zagr.

Wystawa Kół Gospodyń Wiejskich

Dnia 14 października, w wielkiej sali Doliny Szwajcarskiej, zostanie otwartą wystawa urządzana przez wojewódzką organizację Kół gospodyń wiejskich przy pomocy warszawskiej Izby Rolniczej. Stroje regionalne, hafty, tkaniny, pokazy wzorowo prowadzonych kurników, zapasy zimowe w grzybach, miodzie, owocowym suszu, zielarstwo lecznicze i wiele jeszcze innych działów z zakresu gospodarstwa wiejskiego złożą się na bardzo interesującą całość wystawy. Liczne wycieczki kół gospodyń wiejskich w strojach regionalnych będą atrakcją dla miasta. Zakupy można będzie robić podczas trwania wystawy.

Wetny
i Włóczki

P.D.M.

Są najlepsze
i najtańsze

Do nabycia wszędzie

MEBLE gwarantować może tylko własna wytwórnia

Stoły 14 sztuk 430. Sypialnia 10 sztuk 440. Gabinet 460. Salony mahoń 10 sztuk 220. Złoty orzechowy, fotele futurystyczne, tapczany higieniczne 85. Otomany 120. Stoły rozsuwane 50. Krzesła wyściełane 15, oraz najróżnorodniejsze sztuki.

OLKOWSKI Nowy Świat 12, tel. 9-10-93
Firma chrześcijańska



PIERWSZA LECZNICA
Kosmetyczna i Chorób Włosów
Dr Med. M. Biernackiej i Dyr. I. Kisielewskiej
Warszawa, Szopena 16.

Książki dla Hancewic

Na skutek gwałtownego pożaru miasteczka w dniu 3 września spalił się wybudowany w centrum Hancewic dom ludowy z całym urządzeniem. Ogień zniszczył bibliotekę Polskiej Macierzy Szkolnej w ilości 704 książek. Hancewicze leżą w powiecie Stolińskim na Polesiu, są jednym z tych ośrodków kultury polskiej o którym społeczeństwo z centrum państwa dowiaduje się na skutek powodzi, pożarów i innych katastrof. Ludność Hancewic wysyła błagalne podania o pomoc. Zarząd Główny Polskiej Macierzy Szkolnej na zapoczątkowanie nowej biblioteki ofiarował komplet wydawnictw własnych i prosi usilnie tych wszystkich, którym sprawy szerzenia oświaty polskiej są bliskie o składanie książek dla Hancewic w siedzibie Polskiej Macierzy Szkolnej, ul. Krakowskie-Przedmieście 7 m. 4. W pierwszym rzędzie pożądane są powieści i nowele dla dorosłych i dzieci.

CAŁA POLSKA gra i wygrywa w „NADZIEI“

gdzie w ub. Loterji, prócz szeregu innych wygranych.

padło 100.000 Złotych	na Nr. 137215
20.000 Złotych	na Nr. 163283
15.000 Złotych	na Nr. 155961
10.000 Złotych	na Nr. 118329
10.000 Złotych	na Nr. 163309
10.000 Złotych	na Nr. 167985

Tysiące wygranych padło na zakupione tamże losy. Losy 1-ej Klasy kupują przeto wszyscy w iedynej największej i prawdziwie najszczęśliwszej Kolekturze kraju

„NADZIEJA“

Warszawa, Marszałkowska 117

Ciągnięcie 1-ej Klasy już 18 b. m.!

Z kupnem losu nie należy zwlekać. bo w poprzedniej Loterji zapas losów został wyczerpany na długo przed ciągnięciem,

Wszystkim Paniom polecamy doskonałe książeczki Wydawnictwa „Życie Praktyczne“

Zbiór i przechowywanie owoców
Potrawy z jarzyn
Co można zrobić z mleka
Co można zrobić z owoców
Co trzeba wiedzieć o grzybach
Potrawy i konserwy z grzybów
Potrawy z kartofli
Sałaty i sałatki
Zimne leguminy,
Jarzyny na zimę
Książka kucharska dla oszczędnych gospodyń
Kuchnia dziecięca
Nalewki i likiery
Drób i sposoby przyrządzania
Hodowla i tuczenie drobiu
Jarstwo i surówka
Obiady na maszynie
Wina owocowe
Zimne napoje
Zimne zakąski
Wyrób serów
Pieczywo domowe
Sto potraw z jaj
Zioła lekarskie, najlepszym źródłem dochodu
Cukierki i słodycze
Potrawy z cielęciny
Drobne elasteczka

Do nabycia w Tow. Wyd „BLUSZCZ” Solec 87 i Świętokrzyska 17, konto PKO 12.200, oraz we wszystkich większych księgarniach
Cena każdej książeczki 1 zł, z przes. poczt. 1 zł 30 gr.

Każdej Pani, dbającej o piękno i zdrowie, polecamy książki J. Świtalskiej

KOBIETA NOWOCZESNA
Cena 4 zł.

ŚNA
MÓJ SYSTEM PIĘKNO-
Cena 8 zł.

ŚCI I ZDROWIA
PIEKNOŚĆ I ZDROWIE
W ŻYCIU KOBIETY
Cena 3 zł.

Do nabycia w Tow. Wyd „Bluszcz”, Solec 87, Świętokrzyska 17, oraz we wszystkich większych księgarn.

W dniu 20 września 1934 r. ukazało się Rozporządzenie Pana Ministra Poczt i Telegrafów, wprowadzające

NOWY, BEZPŁATNY DLA WYSYŁAJĄCYCH, SPOSÓB PRZESYŁANIA PIENIĘDZY DO ADMINISTRACJI DZIENNIKÓW I CZASOPISM

Na mocy tego rozporządzenia

OD DNIA 1 PAŹDZIERNIKA R. B.

przesyłać można pod adresem administracji dzienników i czasopism należności za prenumeratę i wszelkie inne należności (za drobne ogłoszenia, za pojedyncze egzemplarze i t. p.) nieprzekraczające kwoty 15 zł.

SPECJALNEMI PRZEKAZAMI ROZRACHUNKOWEMI.

Od sum przesyłanych wydawnictwom przy pomocy przekazów rozrachunkowych

WYSYŁAJĄCY PIENIĄDZE NIE PONOSZĄ ŻADNYCH OPŁAT.

Przekazy rozrachunkowe (kolor błękitny) są do nabycia w cenie 1 gr. za sztukę we wszystkich urzędach pocztowych.

PORADNIA MODY

DORADZA paniom, jak ubrać się modnie, dostępnie i odpowiednio;

POLEC A odpowiedzialne źródła zakupów;

WSKAZUJE pracownie sukien i bielizny;

PORADA, PRZEGLĄD I WYBÓR MODELI, KOSZTORYSY, WSKAZANIA ŹRÓDEŁ ZAKUPÓW, WYNOŚI DLA PRENUMERATOREK „TO CO NAJMODNIEJSZE” 5 GR.

ADRES PORADNI MODY: WARSZAWA, ul. SWIĘTOKRZYSKA 17, m. 3.

SPORZĄDZA kosztorysy, patrony, przykrawanie materiałów, ewentualne miary;

POSIADA rysunki modeli, formy bibułkowe do wszystkich modeli.